Nr. 176. Lwów — Czwartek dnia 9 Sierpnia. Rok 1906.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy nadsyłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, zabawach, zgonach, pogrzebach, [illegible] odczytów i koncertów, [illegible] po 1 k. od wiersza.

# PRZEGLĄD
## polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie:
Ajencya dziennikarska [illegible] we Lwowie
Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca.
Niefrankowanych listów nie przyjmuje

Dziś: 9 | św. Romana Sek. | Pantelejmona
Jutro: 10 | św. Wawrzyńca S. | Prochora

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 4 min. 17
Zachód „ „ 6 „ 39

Długość dnia godzin 14 min. 22
Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

## Projekt samorządu miejskiego w Królestwie.

Komisya obywatelska, złożona z przedstawicieli miast, zarządów dobroczynności publicznej, towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia od ognia, Izb lekarskich, kuratoryów trzeźwości i innych wybitnych osobistości, opracowała projekt przyszłego samorządu miast w Królestwie Polskiem. Będzie on rozpatrzony przez ministeryum i jako projekt rządowy przedstawiony dumie. Najpierw wszakże musi uzyskać aprobatę rady państwowej, a w końcu carowi do sankcyi. Zanim przejdzie przez te instytucye, może nie jedno w nim się zmieni, dziś jednak streszcza w sobie życzenia obywatelstwa ogółu i z tego względu jest dla nas ciekawy.

Samorząd miejski istnieje, z wyjątkiem Królestwa Polskiego, we wszystkich ziemiach, tworzących społem państwo rosyjskie, ale nie wszystkim nadany był jednocześnie. Najpierw otrzymały go w r. 1861-ym miasta wielkorosyjskie. Wówczas reformatorska działalność Aleksandra II. była w największym rozpędzie, więc też miasta otrzymały samorząd istotnie bardzo szeroki. Trwało to jednak krótko. Zwyciężyła biurokracya rosyjska, wnet zaczęły się pojawiać komentarze, dopełnienia, czasowe przepisy i t. d., którymi wciąż uszczuplano pierwotne rozmiary samorządu. Za panowania Aleksandra III. wydano nowy statut jeszcze szczuplejszej autonomii miejskiej. Potem różne odmiany tego statutu poczęto nadawać miastom nadbałtyckim, kaukazkim, zakaspijskim, syberyjskim, wreszcie jeszcze inną, najszczuplejszą odmianą uszczęśliwiono miasta litewskie i ruskie, ale Królestwo Polskie zawsze uważano za niegodne takiego zaufania, iżby sami obywatele przez swych wyborców stanowili nawet o gazie, brukach i kanałach. Decydowali o tem zamianowani przez rząd wybrakowani z armii jenerałowie, pułkownicy, w małych miastach kapitanowie, a w miasteczkach porucznicy. Rozmaitość statutów wytworzyła chaos, bo ostatecznie o wszystkiem decydowało ministeryum spraw wewnętrznych, które ustawicznie się myliło w interpretowaniu statutów. Poprawki zajmowały zwykle tak dużo czasu, że w miastach nic się nie robiło. Z tego powodu sam rząd przedstawił przeszłej dumie projekt rewizyi wszystkich miejskich statutów, ale nie zalecił nadania Królestwu owego zrewidowanego statutu, bo między Kongresówką a Rosyą jest duża różnica w kodeksie cywilnym w ustawach hipotecznych i nawet w prawnem pojęciu, czem jest gmina. Rząd polecił wezwać wybitnych obywateli i prawników, aby sami zaprojektowali statut samorządu.

Otóż to oni zrobili tak, jak się układają wszystkie ustawy, to znaczy, że powstał duży tom paragrafów. Lecz aby w ich lesie nie błądziło ministeryum, a potem duma i rada państwa, opracował mecenas Suligowski, członek komitetu, memoryał, streszczający całą zawartość paragrafów. Po przestudyowaniu każdego zdania, przyjęto ów memoryał i wcielono go do projektu.

Jakiegoż więc samorządu pożąda samo obywatelstwo?

Oto, wszyscy opłacający podatek mieszkaniowy będą tajnie głosowali na radnych, którzy z pośród siebie wybiorą prezydenta w dużych miastach, a burmistrza w małych, oraz członków stałych zarządu miejskiego. Po tych wyborach przystąpią do urzędowania rady, stałe zarządy i burmistrze. W miesiąc potem wszystkie rady miast i miasteczek w jednej gubernii wybiorą delegatów na zjazd gubernialny, na którym ci delegaci wybiorą z pośród siebie, albo z grona wyborców miejskich pięciu członków wspólnej dla całego kraju rady samorządnej miast. Z wybranych pięciu członków czterej będą rzeczywistymi delegatami, a jeden zastępcą. Warszawa i Łódź będą wysyłały delegatów odrębnie od innych miast w gubernii, a mianowicie Warszawa czterech, a Łódź dwóch. Tak więc, oprócz rad miejskich lokalnych ma powstać wspólna rada krajowa miejska, złożona z 46-ciu członków i 11-tu zastępców. W miesiąc po wyborze delegatów zjadą się oni w Warszawie i wybiorą z pośród siebie dwóch kandydatów na urząd prezesa, oraz członków stałego zarządu owej wspólnej rady miejsko-krajowej. Kiedy z dwóch wybranych kandydatów jeden będzie zamianowany przez cara prezesem, natenczas owa wspólna rada i jej stały zarząd poczną urzędować. A do zakresu ich działalności będzie należało udoskonalenie i prowadzenie na wspólny rachunek ubezpieczeń od ognia, statystyki, spraw hygienicznych, różnych studyów, układanie projektów, pisanie memoryałów, wogóle bronienie spraw miejskich. Kiedy w kraju powstaną wybieralne rady powiatowe, natenczas owa rada będzie wysyłała swoich delegatów do owej miejsko-krajowej rady.

Każda z osobna rada miejska będzie zarządzała całą gospodarką miasta, lecz nadto otrzyma prawo zakładania szkół, lombardów, kas oszczędności, biur pracy, laboratoryów hygienicznych, urzędów lekarskich i weterynaryjnych, dobroczynności publicznej, kontroli sług, straży ogniowych, słowem wszystkiego, co teraz podlega zarządom policyjnym i żandarmskim, a także gubernatorskim, i co oczywiście mocno kuleje.

Na te wszystkie potrzeby rady miejskie będą miały prawo nakładać podatki — osobno szkolne, a osobno ogólno-miejskie, od komornego i od dochodów, a prócz tego zaprowadzą akcyzę od wszelkich towarów, dowożonych do miasta, mniej więcej po kopiejce za 10 pudów opału, a po 7 kopiejek za 10 pudów innych towarów, co przypuszczalnie da Warszawie pół miliona rubli, a Łodzi 250.000 rb. rocznie.

Rada krajowo-miejska będzie występowała we wszystkich sporach miast z administracyą państwową, a ilekroć nie zdoła załatwić sprawy polubownie, wniesie ją do „komitetu dla spraw miejscowych", ów zaś komitet przypuszczalnie powstanie po całkowitem zreformowaniu stosunków w Królestwie.

Z tego streszczenia projektu samorządu miejskiego można poznać nietylko życzenia obywatelstwa w zakresie spraw miejskich, ale także w zakresie wszystkich spraw krajowych, — można poznać jakiej zmiany w stosunkach administracyjnych, szkolnych, kredytowych i t. d. pożąda obywatelstwo i jak ono sobie wyobraża całokształt ustroju krajowego.

## Panama niemiecka.

Kradzieże publicznego grosza przez urzędników, łapówki, tajne spółki z dostawami państwowymi stały się zjawiskiem tak pospolitem w państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów, stały się tak niezbędnym warunkiem powodzenia tego państwa, że nie warto było wspominać o tem, iż niedawno oddano pod sąd i wtrącono do więzienia referenta urzędu kolonialnego majora Fischera za szachrowanie dostawami na spółkę z firmą kupiecką Tippelskircha. Urząd kolonialny oddał Tippelskirchowi w monopol dostawę materyałów dla wojska w koloniach za 10 milionów marek rocznie. Czysty zysk przedsiębiorcy wynosił mniej więcej 2 miliony. Major Fischer zamawiał dostawy, sam je odbierał i sam wypłacał pieniądze Tippelskirchowi, a przy tej sposobności pożyczał u niego rocznie po 100 tysięcy marek. Można go podziwiać, że nie pożyczał więcej, bo wszakże z 8 tysięcy marek pensyi tak samo nie mógł spłacić stu tysięcy, jak miliona. Były skargi, że dostawione towary są haniebne, że płaszcze żołnierskie w palcach się rozłażą, ale po co w ogóle płaszcze w Afryce? Podnoszono te skargi nawet w parlamencie, ale nikt na to nie zważał. Aż w końcu major Fischer rozwiódł się z żoną, a wtedy ona doniosła na niego i postarała się, aby w głośnych opozycyjnych dziennikach pojawiły się artykuły pod tytułem „katastrofa moralna". Trzeba było wdrożyć śledztwo, które bardzo prędko doprowadziło majora Fischera do kozy, a jego szefa pułkownika Ohnesorga do schronienia się pod skrzydła zakładu psychiatrycznego, — na wszelki wypadek.

To wszystko było domową berlińską sprawą, o której za granicą nie warto było mówić. Ale śledztwo wykryło szczegóły, które nadały tej prosto kryminalnej sprawie zabarwienie polityczne. Z tego więc powodu zasługuje ona na wzmiankę.

Okazało się tedy, że dwa lata temu urzędnik ministeryalny Poeplau, wysłany poufnie na rewizyę do afrykańskich kolonij, zdał kanclerzowi Bülowowi raport o tem, że „w koloniach dzieją się rzeczy trudne do uwierzenia: kradzieże, nadużycia, zbrodnie". Kulturträgerzy dopuszczali się najstraszniejszych okrucieństw względem murzynów, ale to są rzeczy zwykłe w Afryce, a usprawiedliwiane tem, że słońce podzwrotnikowe wrzekomo rozpala mózgi europejskie i wytwarza w nich jakieś choroby, które się objawiają barbarzyńskimi popędami. Ale czego nie tłómaczą żadne skwary, to fałszerstwa urzędowych dokumentów, uprawiania własnych plantacyj kosztem państwa, karmienia najętych murzyńskich robotników mięsem zabijanych krajowców, a rachowania sobie wydatków na kupno rzeźnego bydła, i tym podobnych zbrodni, o które Poeplau oskarżył gubernatorów Horna i Puttkammera, kapitanów Bessera, Wegenera i Kannenburga, wreszcie wysokich cywilnych urzędników księcia Arenberga i Brandeisa. Kanclerz Bülow, otrzymawszy ów raport Poeplau'a, nie wdrożył śledztwa, nie odwołał owych urzędników, słowem, nie zrobił nic. Dopiero niedawno, po dwóch latach, kiedy w belgijskich dziennikach pojawiły się skandaliczne historye o Puttkammerze i Arenbergu, odwołano obu, robiono niby dochodzenia i pierwszemu z nich dano dymisyę, a drugiego osadzono w prywatnym zakładzie umysłowo chorych, skąd zresztą już on wyszedł. Inni urzędnicy, oskarżeni przez Poeplau'a, pozostali na swych stanowiskach, aż poruszył ich z Afryki skandal z majorem Fischerem i firmą Tippelskircha.

Dlaczego pokrywano łotrzyków? Dlaczego zatuszowano sprawę Puttkammera, a kiedy któryś dziennik ją opublikował, to energicznie zaczęto poszukiwać urzędnika, który zdradził „tajemnicę urzędową", a *Norddeutscherka* podała komunikat, wedle którego „osobistości odpowiedzialne postąpiły z Puttkammerem zgodnie z interesem państwowym?" Teraz to się powoli odsłania. Oto — pisze *Germania* — „setki milionów szły na różne dostawy państwowe w ręce przedsiębiorców, którzy wyzyskiwali swój monopol do ostatnich granic i zgarniali tak olbrzymie zyski, że mogli bez rachuby smarować cele patryotyczne i protestanckie." A więc powtarza się historya z Bankiem Pomorskim, którego dyrektorowie kradli i fałszowali akcye, ale suto dawali na hakatę i na budowę kirch w Poznańskiem. Bank Pomorski „smarował" za pomocą ochmistrza dworu cesarzowej barona Mirbacha, a przedsiębiorcy „smarowali" cele patryotyczne przy życzliwem pośrednictwie ministra rolnictwa von-Podbielsky'ego. Zresztą p. minister ogłosił, że „nieprawdą jest, jakobym był tajnym wspólnikiem przedsiębiorców państwowych i jakiekolwiek własne kapitały zaangażował w ich operacyach, natomiast prawdą jest, że pożyczyłem pieniądze firmie Tippelskircha i odbieram je z jej zysków". — Nieznośna opozycyjna prasa nie chce zrozumieć różnicy między tą prawdą a nieprawdą i domaga się odsłonięcia celów patryotycznych, które były smarowane. Niedoczekanie jej! Patryoci nie pozwolą się skompromitować. Niemcy poczują tylko swąd panamy, ale jej samej nie ujrzą, bo przecież Prusy muszą być państwem dobrych obyczajów!

## Korespondencye.

**Wiedeń** 6 sierpnia.

*(Pierwszy konflikt austryacko-niemiecki w sprawie stosowania nowego traktatu handlowego. Sprawa oclenia jęczmienia, wprowadzanego do Niemiec.)*

(y). Między rządami: austryackim a niemieckim wybuchło pierwsze poważne nieporozumienie co do wykonywania postanowień nowego traktatu handlowego, który, jak wiadomo, wszedł w życie z dniem 1 marca b. r. Dotyczy ono sprawy oclenia jęczmienia, wprowadzanego w granice cesarstwa niemieckiego.

Pod naciskiem agraryuszy niemieckich podwyższono w nowym traktacie cło od jęczmienia, wprowadzanego do Niemiec, na 4 marki od centnara metrycznego, a zatem w dwójnasób. W ten sposób chciano uczynić uprawę jęczmienia w Niemczech rentowniejszą i zapewnić krajowym producentom ile możności cały wewnętrzny rynek zbytu.

Wobec tego, że rząd niemiecki, związany uchwałą parlamentu, żadnych ustępstw w tej sprawie uczynić nie chciał, musiał rząd austryacki zgodzić się w końcu na nowe 4-markowe cło niemieckie od jęczmienia, chociaż były tu w grze najżywotniejsze interesa rolników czeskich i morawskich, którzy za ery dawnego traktatu handlowego ogromne ilości jęczmienia wywozili corocznie do Niemiec.

Już po zawarciu traktatu handlowego z Austryą wdał się rząd niemiecki w rokowania z Rosyą i zawarł także z nią nowy traktat handlowy. Owóż w tym nowym traktacie z Rosyą poczynił rząd niemiecki bardzo znaczne ulgi dla eksportu rosyjskiego jęczmienia do Niemiec i one właśnie są powodem obecnego nieporozumienia. Mianowicie zrobiły Niemcy w traktacie z Rosyą różnicę między jęczmieniem browarnianym a pastewnym. Dla jęczmienia browarnianego zatrzymano oczywiście cło 4-markowe, obowiązujące w traktacie z Austryą, natomiast zniżono na 1 markę 30 feników od centnara cło od jęczmienia pastewnego.

Na przedstawienia, uczynione skutkiem tego przez rząd austryacki w Berlinie, dano uspokajające oświadczenie, iż to odmienne traktowanie jęczmienia browarnianego a pastewnego w niczem nie narusza interesów rolników austryackich, którzy produkują jedynie jęczmień piękny, używany do fabrykacyi słodu, podczas gdy w Rosyi takiego jęczmienia wcale nie uprawiają, lecz tylko o wiele lichszy, przydatny tylko na karmę dla bydła. Wszelkie nadużycia będą wedle zapewnień rządu niemieckiego wykluczone, bo jęczmień pastewny wcale nie nadaje się do wywaru piwa, a nadgraniczne władze celne niemieckie innego jęczmienia nie wpuszczą pod żadnym warunkiem za niższą opłatą 1 marki 30 feników od centnara, odróżnienie zaś jęczmienia pastewnego od browarnianego jest łatwe ze względu na to, że pastewny jest znacznie lżejszy od browarnianego.

Rad nie rad musiał rząd austryacki zadowolić się tem zapewnieniem i w dniu 1 marca b. r. weszły w życie nowe traktaty z osobnem wyższem cłem dla jęczmienia browarnianego, a osobnem niższem dla pastewnego. I oto pokazuje się, że niemieccy piwowarzy, tudzież handlarze i spekulanci zbożowi wyzyskują dla swoich celów tę różnicę i sprowadzają z zagranicy do Niemiec za niższą opłatą celną ogromne ilości jęczmienia, wrzekomo pastewnego, który jednak mimo to używany bywa do wywaru piwa. Dzieje się to z wielką krzywdą dla austryackich rolników, których wyborowy produkt ma zamknięty wstęp do Niemiec, podczas gdy lichy towar z innych krajów znajduje tam odbyt korzystny. Dlatego też austryacka Rada państwa na jednem z ostatnich posiedzeń przed rozejściem się na ferye letnie przyjęła nagły wniosek, polecający rządowi, ażeby w tej sprawie wystąpił energicznie w obronie krajowej produkcyi rolniczej.

Przed paru dniami poruszono tę sprawę także na sejmie bawarskim, a z odpowiedzi, jaką dał bawarski minister finansów Pfaff na odnośną interpelacyę, okazuje się, że rząd wiedeński poczynił już w tej kwestyi przedstawienia w Berlinie i że rokowania są w toku. Podobno rząd austryacki domaga się przedewszystkiem niewzruszonych gwarancyj, iż jęczmień wprowadzany do Niemiec jako pastewny za niższą opłatą celną 1 marki 30 feników od 100 kilo, absolutnie nie będzie mógł być używany do wyrobu piwa, ani do pędzenia wódki. Gwarancyą zaś taką może być tylko zanieczyszczenie, czyli t. z. denaturowanie go przez przydanie odpowiedniej przymieszki. Gdyby zaś w ten sposób sprawa ta załatwić się nie dała, w takim razie możliwem jest, że rząd austryacki ułatwiłby eksport jęczmienia z Austryi do Niemiec przez przyznawanie pewnego rodzaju premii wywozowych w formie tak zwanych asygnat celnych (Einfuhrscheine). Idzie tylko o wszechstronne zbadanie kwestyi, czy takie pośrednie popieranie eksportu za pomocą restytucyi celnych, da się pogodzić z postanowieniami traktatu handlowego. Rząd niemiecki jeszcze nie zajął zdecydowanego stanowiska wobec żądań austryackich w tej sprawie.

Gdyby zdecydowano się na wprowadzenie systemu popierania eksportu jęczmienia restytucyami celnemi, czy też premiami wywozowemi, o co usilnie starają się rolnicy w Czechach i na Morawie, to obciążyłoby to budżet państwowy bardzo znacznym wydatkiem corocznym. W roku ubiegłym n. p. wywieziono z Austryi do Niemiec przeszło 4 miliony centnarów metrycznych jęczmienia i słodu, gdyby zatem chciano bonifikować rolnikom morawskim i czeskim bodaj połowę cła pobieranego w Niemczech, to już potrzebaby na to przeszło 10 milionów koron rocznie.

## Minimum egzystencyi.

Obowiązująca w Austryi ustawa egzekucyjna pozwala na sądowe zajęcie czyli egzekucyę na pensyi urzędnika aż do wysokości $1/3$ części tej pensyi, z tem jednak zastrzeżeniem, że od egzekucyi wolne, pozostałe $2/3$ części tej pensyi wynosić muszą co najmniej 1.600 koron w rocznem obliczeniu, czyli inaczej, że jeżeli egzekwowany dłużnik nie ma tak wielkiej rocznej pensyi, iżby jej $2/3$ części wynosiły 1.600 koron, to nie może mu być zajęta cała $1/3$ część pensyi, a tylko taka kwota, która z rocznej pensyi pozostaje po odliczeniu 1.600 koron. Owe bowiem 1.600 koron uznaje ustawa jako tzw. *minimum egzystencyi*, t. j. najmniejszą kwotę roczną, potrzebną inteligentnemu człowiekowi do opędzenia najkonieczniejszych wydatków. Owóż, jak wiadomo, wystąpił w Radzie państwa poseł Stwiertnia z wnioskiem o podniesienie tego *minimum egzystencyi* do 2.400 koron rocznie. Propozycya ta nie jest oryginalnym pomysłem wnioskodawcy; jest to postulat w ostatnich czasach dość często stawiany przez

1)

## Ostatni dzień skazanego.

### Satyra na amerykańskie obyczaje.

— A zatem opuszczasz nas! Nie zobaczymy się już więcej!

— Niestety, droga pani, muszę. Jutro rano „nieodwołalnie i bez nadziei ułaskawienia" mam być powieszony.

Pomimo, iż trzymiesięczny pobyt wśród Yankesów oduczył mnie od dziwienia się czemukolwiek, słysząc jednak dyalog podobny, zdumiałem się.

Działo się to w parlatoryum więzienia w Humanity-ville, przypominającym bardziej salon, niż miejsce kaźni.

Kilkanaście *ladies* w toaletach wizytowych, otaczało skazanego *gentlemana*. Miał on na sobie frak, biały krawat i jasne paliowe rękawiczki.

— To jest właśnie morderca — szepnął mi na ucho agent policyjny — otrzymuje on 10 dolarów dziennie, nie licząc w to pożywienia.

Objawiłem zdumienie.

Mój towarzysz z całą sumiennością przyjął na siebie rolę cycerona.

— James Dux — mówił — którego nazwisko zostanie wpisane pomiędzy zbrodniarzy najniższego rzędu, w początkach swojej karyery przejawiał dużą inteligencyę. Rabował tylko ludzi majętnych, posiadających co najmniej 10.000 dolarów majątku. Dzięki temu, cztery razy uniknął szubienicy. Po raz pierwszy przekupił świadków, którzy stwierdzili jego *alibi*; po raz wtóry zdołał pozyskać dla swej sprawy przysięgłych; po raz trzeci wszedł w bezpośrednie układy z sędzią. Czwarty „business" omal, iż nie przypłacił życiem. Po zamordowaniu pewnego bankiera, znalazł w kasie ogniotrwałej banknoty, które okazały się fałszywemi. James, przez pomyłkę, zabił jednego ze swoich. Ponieważ, siedząc w więzieniu, nie mógł zebrać sumy potrzebnej dla wykazania swej niewinności, przeto *jury* wydało na niego dekret potępiający. Miał już być stracony, lecz jeden z jego kolegów, który zakładał Instytucyę kredytową na Zachodzie, ofiarował się kupić owe fałszywe banknoty po cenie zniżonej, podejmując się puścić je w obieg przy pomocy swoich agentów. Zrealizowana w ten sposób suma przejednała gubernatora, który wspaniałomyślnie ułaskawił skazańca. Lecz Dux nie zdołał nigdy otrząsnąć się z tego ciosu. Zdolności jego upadły wraz z odwagą i wiarą w szczęśliwą gwiazdę. Stracił sokoli rzut oka, dzięki któremu zajmował przewodnie miejsce w głównym sztabie *gentlemenów* tej samej, co on profesyi. Odtąd począł rabować byle kogo, wreszcie pewnego wieczoru, na odległem przedmieściu, zabił w sposób ordynarny, kilku uderzeniami młotka, starca, przy którym znalazł nędzny, niklowy zegarek i nic więcej. Złapany na gorącym uczynku przez niezręczną gorliwość jakiegoś policyanta-nowicyusza, James Dux stanął po raz piąty przed sądem przysięgłych. Wszystko spiknęło się przeciwko niemu: zajadli świadkowie, niesumienny obrońca, tropikalny upał. Podczas gdy przysięgli spijali w bufecie *whiskey cocktail* (ogromnie mocną wódkę amerykańską), sędzia Blackstone pozostał w sali i wśród kłębów kurzu wygłosił wyrok śmierci, wykonalny dopiero za trzy miesiące, a to dla tego, żeby skazany miał czas rozpamiętywać nad swoją nieprawością i zaznajomić się z Biblią. Wczoraj upłynął właśnie ostatni dzień oznaczonego terminu.

Nie mogłem już dłużej powstrzymać mego zdziwienia.

— Jakto! — zawołałem — więc to jest skazaniec? W takim stroju? W tym salonie? Otoczony takimi względami?

Agent policyjny spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Tak, to Dux — odparł. — Bo trzeba panu wiedzieć, że się nawrócił. Jest to stanowczy tryumf sekty baptystów. Interesuje się nim całe „towarzystwo" Humanity-ville. Najpiękniejsze nasze *ladies* wzięły koszta egzekucyi na siebie. Śliczną sprawią mu śmierć, aż miło! Zobaczysz pan, jak umiera prawdziwy baptysta.

Głos policyanta załamał się od wzruszenia. Na myśl o nawróceniu grzesznika, budziła się w nim krew purytańska, krążąca w sercu każdego prawego Yankesa.

W oczach moich przebijało snać zdumienie, gdyż agent mruknął do siebie.

— Och! ci Polacy, bezbożnicy przeklęci, niezdolni odczuć nic wzniosłego.

Usłyszawszy taki sąd o mojej narodowości, postanowiłem milczeć.

W chwili tej właśnie morderca, odprowadzając do drzwi jednę z dam, przeszedł obok mnie; mogłem mu się lepiej przyjrzeć.

Był to człowiek niski, krępy, źle zbudowany, z nieszczerem, wymijającem spojrzeniem i twarzą, przypominającą stworzenie czwororęczne.

Potworne to indywiduum we fraku i białym krawacie, wyglądało cudacznie.

Jakaś dama zbliżyła się do niego i ofiarowała mu olbrzymi bukiet białych róż, symbol czystości duszy. Skazaniec przyjął go z miną znudzoną, powąchał, i bez ceremonii rzucił w kąt, gdzie piętrzyły się stosy najrzadszych kwiatów — żniwo całodziennych odwiedzin.

— Mam zaszczyt przedstawić panu moją córkę jedynaczkę, Nelly Blackstone, odezwał się jakiś jegomość pękaty, torując drogę młodej *miss*, zarumienionej jak wiszenka.

— Jest to sędzia Blackstone, ten sam, który wygłosił wyrok śmierci — szepnął mi na ucho policyant.

Morderca zamienił z sędzią serdeczny uścisk ręki, panienka zrobiła piękny dyg, przyczem pokraśniała jeszcze silniej. Słodka jej twarzyczka promieniała od radości.

— Przez te trzy miesiące papa mówił mi wiele o panu — szepnęło z zakłopotaną minką dziewczę. — Wiem, że mieliście ze sobą „nieporozumienie", pomimo to mam nadzieję, że zechcesz pan przyjść do nas jutro na obiad.

— Żałuję bardzo, że stawić się na zaproszenie nie mogę, ale to niepodobna — odparł Dux z uśmiechem rubasznym.

Dziewczę zarumieniło się po białka od oczu.

— Chyba — ciągnął dalej skazaniec — chybaby ojciec pani zgodził się zmienić wyrok.

— Ach! James — zawołał sędzia — wiesz, że ja uczynić tego nie mogę. Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem.

I pochylając się, szepnął Duxowi na ucho:

— Nie mógłbym tego uczynić nawet za sumę, przewyższającą w dwakroć moją roczną pensyę.

— To musi być okropnie zostać powieszonym! — przerwała panienka.

— Oh! nie, chwila obawy, bardzo krótka chwila i już po wszystkiem, moje dziecko — oświadczył sędzia tonem znawcy. — Och! chciałbym tak skończyć — dodał z melancholijnem westchnieniem.

— Tak, byle maszyna była pewna i kat znający się na rzeczy — wtrącił James Dux. — A propos, panie sędzio, dopilnuj-że postronka, niech go wpierw posmarują tłuszczem... Nie byłoby mi wcale przyjemnie dać dwóch przedstawień zamiast jednego. Pamiętasz tego biednego Phelpsa, na którym szeryf Parnell, z Filadelfii, próbował nowowynalezionego przez siebie systemu. Biedny chłop przez cały kwadrans dyndał na przerwanym sznurku wisząc o dziesięć stóp nad ziemią, dopóki widzowie i reporterzy nie zakończyli strzałami z rewolwerów jego katuszy *).

— Bądź spokojny, drogi przyjacielu. Nie zaniedbam nic, aby ci śmierć uprzyjemnić.... Niestety, jedno tylko nie jest w mojej mocy.

— No, rozumiem sędzio, rozumiem! James Dux potrafi wejść w każde położenie.

P. Blackstone oddalił się, zabierając ze sobą córkę. Spostrzegłem, iż panienka po razy kilka odwracała główkę, w nadziei zapewne, iż spotka się ze spojrzeniem modnego przestępcy.

Tymczasem fala gości napływała do więziennego parlatoryum.

Była to deputacya.

Na czele jej szedł mówca.

Wyjąwszy z kieszeni pudełko z czerwonego safianu, nabijane złotemi gwoździkami, podał je przestępcy i zabrał głos w te słowa:

„Kochany panie Dux, pozwól, iż w imieniu mieszkańców Humanityville, członków *jury*, szeryfa, urzędników sądu, który rozpatrywał twoją sprawę, policyi i dozorców, którzy przyczynili się do osadzenia cię w więzieniu, złożę ci dowód uznania i szacunku, jakim natchnąłeś nas wszystkich swą rezygnacyą i godnym *gentlemana* spokojem, podczas obrad, i tutaj, w więzieniu.

„W moim charakterze skarbnika kościoła baptystów, winienem przedewszystkiem oświadczyć panu powszechny nasz zachwyt dla uczuć, jakie natchnęły cię przebaczeniem uraz twym prześladowcom. Racz pan przyjąć ten skromny klejnot; pragniemy, aby ci był miłym i pożytecznym w ostatnich godzinach twojego istnienia".

(Dokończenie nastąpi).

*) Historyczne.

urzędników niższych stopni, a wywołany powodami natury realnej i teoretycznej.

Oznaczenie owego minimum egzystencyi uległo już w Austryi w ciągu ostatnich lat czterdziestu trzykrotnym zmianom. Pierwotnie oznaczyła je ustawa na 400 złr.; później podniesiono je na 600 złr.; obowiązująca obecnie ustawa przyjęła 800 złr. czyli w nowej walucie 1.600 koron.

Pierwszą realną przyczyną tej gradacyi *in plus* był fakt, że życie staje się coraz droższem, czyli że pieniądz coraz jest tańszym. Drugą przyczyną jest to, że owa w egzekucyi nie przekraczalna granica dotyczy najgorzej uposażonych urzędników niższych stopni, albowiem ma zastosowanie tylko do tych pensyi, które wynoszą najwyżej 2.400 koron rocznie, czyli 100 złr. miesięcznie. Przy większych dochodach po egzekucyjnem zajęciu 1/3 części płacy pozostaje wyższa kwota, jak wymagane w ustawie 1.600 koron, i dlatego owe minimum egzystencyi nie wchodzi w rachubę.

Sądowa egzekucya, akt smutnej ostateczności, bezwarunkowo przykro dotyka każdego dłużnika, a najprzykrzej oczywiście tego, którego budżet i tak nadzwyczaj skromny doznaje przez nią dotkliwej redukcyi. A że przymusowe zredukowanie budżetu małej urzędniczej rodziny z około stu złotych nagle na 66 złr. miesięcznie jest bardzo dotkliwe — o tem chyba nikt nie wątpi. To też domagania się o podwyższenie owego minimum egzystencyi nietylko są liczne, ale i głośne, a to tem bardziej, że egzekucyi z reguły nikt się nie poddaje dobrowolnie, a wielu dłużników, dla których egzekucya jest wielkim ciężarem, zapomina, iż jest to bądź co bądź akt sprawiedliwości, lecz uważa ją za przykry gwałt.

Domaganie się urzędników podniesienia wyżej, niż dotąd, granicy egzekucyi znajduje poparcie w dwóch obecnie popularnych momentach natury ogólnej. Pierwszy z nich, to tak powszechne dzisiaj dążenie klas zarobkujących do stworzenia sobie jak najznośniejszych warunków bytu, a więc przedewszystkiem do podniesienia minimum dochodów. Zaś dla tych licznych urzędników najniższych stopni, którzy mają kondyktami obciążone płace aż do ustawowej granicy 1600 koron lub na których płace czekają kondykty, aż do chwili, gdy te płace przekroczą 1600 koron, dążenie do poprawienia sobie bytu jest równoznacznem — przynajmniej chwilowo — z przesunięciem wyżej niż dotąd, granicy egzekucyi. Bo np. mający długi urzędnik najniższej rangi tj. XI. klasy pobierający rocznie 1900 koron, w czem jest 300 koron dodatków, a 1600 koron stałej płacy, gdyby otrzymał podwyższenie płacy np. 100 lub 200 koron, niczby na tem efektycznie nie zyskał, bo podwyższenie to przypadłoby jego wierzycielom. Ten sam urzędnik, awansując do X klasy rangi, w której otrzymuje około 2000 stałej płacy (oprócz kilkuset koron dodatków) nic również na tem podwyższeniu płacy efektycznie nie zyskuje, gdyż to podwyższenie dostanie się jego wierzycielom; a nawet zaawansowawszy do IX klasy otrzyma zaledwie około 2400 koron stałej płacy, czyli kwotę, której niepodpadające pod egzekucyę 2/3 części nie przenoszą oznaczonego minimum 1600 koron. Tedy na awansie zyskuje on tylko różnicę w dodatkach do płacy tj. około 300 koron rocznie z rangi do rangi, zaś większa od tej różnica w wysokości płacy przypada nie jemu, ale jego wierzycielom. Wobec tego i wobec faktu, że z urzędników tych najniższych rang, których dotyczy owa granica egzekucyjna, około 80% jest zadłużonych — łatwo zrozumieć, dlaczego gorącem pragnieniem tych ludzi jest podniesienie tej granicy egzekucyi z 1600 K na jakąś wyższą kwotę. Czy ziszczenie tych dążeń byłoby zupełnie sprawiedliwe i nawet rzeczywiście pożyteczne dla owych urzędników, którzy tego pragną, to rzecz bardzo wątpliwa; gdy jednak pojawił się taki projekt ustawodawczy, to wskazać należy na jeszcze jeden moment natury ogólnej, a mianowicie teoretycznej, który jest poparciem takich żądań, jak właśnie omawiane żądanie urzędników.

Oto każdego nawet nieprawnika przy wielu sposobnościach uderzyć musiała w austryackiem ustawodawstwie cywilnem, przedewszystkiem we wszystkich kwestyach prawnych opartych na pojęciu wierzytelności i długu, pewna wyraźna tendencya ochrony wierzyciela tj. strony procesowej, która z małymi tylko wyjątkami jest zwykle materyalnie lepiej sytuowaną od strony przeciwnej, a mianowicie dlatego, że bardzo przeważną część procesów z tej dziedziny stanowią sprawy o długi w ściślem codziennem ich znaczeniu, tj. o długi zaciągane na procent, czyli o pożyczki udzielane czy to przez ludzi zasobnych, czy to przez instytucye — ludziom potrzebującym kredytu, a więc zwykle niezasobnym. Ta tendencya do ochrony wierzyciela ma przedewszystkiem przyczyny czysto rzeczowe, a mianowicie chodzi o to, by przez nadanie wierzycielowi pewnej przewagi, sztucznie przez prawo stworzonej, zrównoważyć to jego położenie niekorzystne, które wytwarza sytuacya faktyczna. Bowiem, gdy dłużnik zaciąga pożyczkę, zwykle czyni najpiękniejsze obietnice punktualnego spłacenia, powołuje się na swoją zdolność kredytową, na najlepsze chęci uiszczenia się, nawet na wdzięczność swoją itd. Z tych przyrzeczeń dający pożyczkę tj. wierzyciel słusznie ma prawo budować sobie pewne nadzieje. W chwili zaś, gdy dłużnik odmawia zapłaty, wszystkie te nadzieje pryskają. Dokąd jeszcze kwestya jest sporną, tj. dłużnik zaprzecza należytości, stawia w wątpliwość wysokość odsetek, lub tp. dotąd oczywiście ustawa pozostaje bezstronną, nie może bowiem przesądzać, po czyjej stronie jest słuszność. W chwili jednak, gdy zapadnie wyrok, te wątpliwości znikają, a stan rzeczy jest ponad wątpliwość stwierdzony, że dłużnik winien jest tyle a tyle swemu wierzycielowi. Mimo jednak tego dłużnik, jeśli dłużnik nie chce dobrowolnie zapłacić, to niekorzystna faktyczna sytuacya wierzyciela nie zmienia, czyli nienaprawioną pozostaje jego strata faktyczna tj. zawiedziona rachuba na uczynione mu przez dłużnika, a przez niego *bona fide* przyjęte nadzieje. By tę niesprawiedliwość wyrównać, ustawa bierze wierzyciela w opiekę i w całej procedurze egzekucyjnej i we wszystkich wogóle postanowieniach mających zastosowanie po wyroku, roztacza nad wierzycielem wybitny system protekcyjny. Stąd to w ustawodawstwie cywilnem owa tendencya ochrony tej strony procesowej, która — jak wspomnieliśmy — zwykle jest lepiej ekonomicznie sytuowaną. Tendencya ta — jak z powyższego wywodu się okazuje — jest najzupełniej uzasadnioną i sprawiedliwą. Za tą tendencyą szli dotąd zawsze wszyscy ustawodawcy. Dopiero w ostatnich latach objawiać się poczynają prądy temu przeciwne. Liberali rozmaitych odcieni, radykali i socyaliści postawili za najwyższą zasadę prawodawstwa ochronę jednostek ekonomicznie słabszych, by w ten sposób zrównoważyć społeczne różnice wywołane przez różnice ekonomiczne. Na tej zasadzie oparto już nie jedną ustawę, że wspomnimy choćby tylko ustawę o sądach przemysłowych, których organizacya i procedura jest od *a* do *z* systemem protekcyi pracownika przeciw jego pracodawcy.

Owóż ta zasada ochrony ekonomicznie słabszej jednostki przeocza motywy rzeczowe i staje na stanowisku bezwzględnej ochrony tej strony procesowej, która jest ekonomicznie słabszą, t. j. staje na stanowisku ochrony dłużnika przed wierzycielem. Dziwić się trudno, że takie stanowisko znajduje poklask u interesowanych — u dłużników. Że zaś ono jests nieprawiedliwe, to również jest jasnem.

Gdyby to stanowisko stało się decydującem w sprawie właśnie aktualnego wniosku o podwyższenie minimum płacy, nie podpadającego pod egzekucyę, z 1.600 koron na 2.400 koron, to niesprawiedliwość ta zasadzać się będzie na stracie wierzycieli. Oczywiście ustawa wstecz działać nie może; to znaczy, mimo jej uchwalenia pozostałyby w mocy te kondykty, które już są na płacach urzędniczych. Jednak dotkliwe szkody ponieśliby ci wszyscy wierzyciele, którzy przed tą ustawą udzielili pożyczek, a nie mają jeszcze płynnego kondyktu. I tak np. wierzyciel, który udzielił pożyczki urzędnikowi XI klasy rangi, licząc na to, że ów urzędnik za rok lub dwa lata przejdzie do X klasy rangi i stanie się wypłacalnym, będzie musiał czekać tak długo, aż ów urzędnik zaawansuje aż do VIII klasy rangi, a tylko ewentualnie wśród szczęśliwych okoliczności do IX klasy. Przez to wierzyciel straci nietylko na czasie, ale i na odsetkach, gdyż egzekucyjnie za wiszący dług ściągnąć można wedle ustawy tylko dwuletnie procenta, a owemu wierzycielowi przyjdzie czekać zapewne znacznie dłużej. Następnie stracą także ci wszyscy wierzyciele, którzy mają już płynne kondykty na płacach urzędników X i IX rangi. Obliczali oni słusznie, iż na razie ściągają przez kondykt małą tylko kwotę, zaś w razie awansu dłużnika ściągać będą większą kwotę. Tymczasem tak znaczne podniesienie granicy egzekucyjnej, jak proponowane z 1.600 koron na 2.400, uniemożliwi im to w zupełności.

Zaś dla samych urzędników rezultat takiego przesunięcia granicy egzekucyjnej byłby ten, iż wielkie rzesze urzędników trzech najniższych rang obecnie zdolne do drobnego kredytu, po podniesieniu „minimum egzystencyi" do 2.400 koron, stałyby się do tego kredytu zupełnie niezdolne, zaś przymuszone do używania kredytu uciekaćby się musiały do wygórowanie lichwiarskich pożyczek. Trudno bowiem przypuścić, by urzędnikowi, którego płacy ani zaraz, ani w dość odległej przyszłości zająć nie można, chciał ktoś pożyczyć jakąś kwotę na umiarkowany procent. Takich ryzykownych kredytów podejmują się tylko lichwiarze najgorszego gatunku. Dotąd zdolność egzekucyjna była dla urzędników źródłem ich kredytu; gdy im się odbierze tę zdolność, zamknie się im uczciwy kredyt, i tak już dość trudny dla nich w obecnych czasach. Ustawa o podwyższeniu minimum egzystencyi przyniosłaby więc korzyść nielicznej garstce nieuczciwych urzędników, którzy nie chcą swoich długów zapłacić, a przez zamknięcie zdrowego kredytu wydałaby tysiące porządnych urzędników w razie jakichś kłopotów rodzinnych na pastwę lichwiarzy.

# Wypadki w Rosyi.

**Petersburg.** Wiadomości dzienników zagranicznych o niepokojach i strejku tramwajowym w Narwie, są nieprawdziwe; w miejscowości tej wcale nie ma nawet tramwajów.

**Moskwa.** Kilka rewolucyjnych demonstracyj przeszło wczoraj bez wypadku. Robotnicy kolei kurskiej rozpoczęli wczoraj strejk. W pobliżu dworca dano strzały rewolwerowe do przejeżdżających dwóch lokomotyw, z których personalu jednakże nikt nie został ranny. Strejkujących robotników rozpędziło wojsko. Na prowincyi objawiają się usiłowania wywołania strejku politycznego.

**Petersburg.** Mimo onegdajszej uchwały zacerów, aby wydawcom użyczyć tylko tylu pracowników, by wystarczyło do wydania tylko jednego, ściśle informacyjnego dziennika, kilka dzienników wyszło w pełnej objętości, gdyż zecerzy poszczególnych drukarń postanowili samodzielnie postanawiać o sprawach swojej drukarni. W mieście panuje spokój z wyjątkiem niepokojów na linii kolejowej ku Siestroreckowi. Ruch strejkowy się zmniejsza i uważać go można za nieudały, mimo usiłowań socyalnych demokratów, którzy twierdzą, że strejk będzie dziś przeprowadzony.

**Sebastopol.** Na żądanie sądu wojennego przybyła tu osobna komisya sądowa, celem wydania opinii, co począć należy wobec dokonanej onegdaj w nocy kradzieży aktów. Komisya, do której przyłączył się także admirał Skrydłow, orzekła, że potrzebne jest przeprowadzenie osobnego śledztwa.

**Moskwa.** W wielkich miejskich warsztatach ruch jest wstrzymany. Ruch kolejowy normalny. Zecerzy strejkują; dzienniki wyszły wczoraj w zmniejszonym formacie.

**Petersburg.** Pet. Agencya donosi: Komitet strajkowy otrzymał z Moskwy wiadomość, że jest rzeczą niemożliwą doprowadzić tam do jednolitego postępowania.

W Petersburgu fabryki znowu po części podjęły ruch, nawet wśród dobrze zorganizowanych zecerów strajk widocznie niema powodzenia, gdyż wczoraj zamiast jednego dziennika wyszło 5 dzienników w pełnych rozmiarach.

**Petersburg.** Doniesienie dzienników zagranicznych, jakoby rząd miał zamiar wstrzymać wypłaty w gotówce, jest zupełną nieprawdą i ułożone zostało dla wywołania paniki wśród wierzycieli Rosyi.

# Mały feljeton.

## Staruszka.

*(Z holenderskiego).*

W ośmdziesiątym roku życia przyszła pani Bartje szczególna myśl do głowy. Przez siedemdziesiąt lat wiodła spokojny żywot koło Arnheim, bez szczególnych wypadków. Mąż jej umarł — Wilhelm żył. Wilhelmem to był jej syn, mieszkał przedtem w Artjeh, a teraz dostał posadę w Amsterdamie. Pani Bartje byłaby prawdopodobnie umarła nie dożywszy żadnego nadzwyczajnego wypadku, gdyby jej nagle nie przyszło na myśl odwiedzieć swego Wilhelma.

Opowiadano jej w Arnheim, że jeździ tam tani pociąg wycieczkowy. Nigdy przedtem nie podróżowała. Teraz dopiero zachciało się jej tego. Uparła się i nie można jej było tego żadną miarą wytłómaczyć. Była bardzo upartą. Gdy jej jedna sąsiadka napomknęła o jej podeszłym wieku, roześmiała się i odparła, że mogłaby jeszcze *horlepiep* (narodowy taniec holenderski) tańczyć. Chce Wilhelmowi zrobić niespodziankę. Chce widzieć Amsterdam. Czuje się znowu młodą.

Gdy usiadła w przedziale wagonu kolejowego trzeciej klasy, trzymając w swych starych, pofałdowanych rękach spory koszyk z dwoma uszami, wołano do niej jeszcze raz:

— Będziesz pamiętała cіociu Bartje?

— Będą, będę — odrzekła zachmurzona.

— Czy nie dobrzeby było napisać ci na kawałeczku papieru?

— Ach Boże! Człowieku, nie potrzeba. Jaki ty nudny jesteś!

— A jeśli zapomnisz?

— Nie zapomnę.

— U Pietersa na ulicy Oud - Zijdes - Voorburgwal.

— Tak, tak, tak!

— Pamiętasz jeszcze numer?

— 466.

— Nie!... Już ją macie... 463.

— No, teraz nie zapomnę.

— Flaszka nie wywróci się?

— Stoi między goździkami.

— Bądź ostrożna przy wysiadaniu.

— Dobrze, dobrze, dobrze!

— Nie zgub swego biletu powrotnego.

— Ależ nie, człowiecze.

— No, bądź zdrowa cіociu!... Uważaj na siebie we drzwiach, podnoś trochę spodnicę, abyś nie przydeptała jej i nie potknęła się.

— Bywajcie zdrowi!

— Szczęśliwej podróży!

— Bywaj zdrowa!

— 463... Oude - Zijdes - Voorburgwal!

Rum - rum - rum, odjechał pociąg.

Pani Bartje siedziała w kąciku. Koszyk postawiła na pułkach i gładziła fałdy brązowej chustki. Z zadowoleniem patrzyła przez okno i dziwiła się, że pociąg tak dobrze jechał. Z zadowoleniem też ruszała wciąż szczękami, jakby co żuła. Ciągle żuła. Nikt nie wiedział co, ale każdy wiedział, że żuła. Poorane fałdami policzki ściągały się i rozszerzały regularnie, głębokie fałdy na szyi ani na chwilę nie przestały się ruszać.

To regularne otwieranie ust charakteryzowało dobroduszną, spokojną staruszkę, zwłaszcza, że się przytem pokazywały brunatne korzenie zepsutych zębów z głębokiemi czarnemi lukami. Siwy włos gładko przyczesany, pokrywał jej kościstą głowę. Brunatna chustka zwisała po niebieskiej spodnicy odświętnej.

Siedziała w przedziale szczelnie zapełnionym. Siedziały tam dziewczęta i mężczyźni; sami weseli ludzie, zadowoleni, śpiewali piosnki jedną za drugą.

— Mateczko, jedziecie także do Amsterdamu?

— Tak jest, proszę pana.

— Chcecie pewnie odwiedzić rodzinę?

— Mego syna.

— Mieszka w Amsterdamie?

— Od sześciu miesięcy.

— To on was tam dobrze ugości.

— Może.

— Byliście tam już? Jeździcie tam często?

— Nie, przyjacielu, nie miałam nigdy czasu do podróżowania.

Zabawiano się rozmową, potem znowu śpiewano jakąś piosnkę, którą zagłuszył rumot toczącego się po szynach wagonu. Była tam między niemi dziewczyna, miluchne dziecko, które częstowało jadących z nią słodyczami, inna zaś dawała do wąchania dla orzeźwienia wodę kolońską. A pani Bartje siedziała zadowolona, ruszając ciągle szczękami i ściągając fałdy na swem wychudłem obliczu żółtawej cery.

Przybyła na miejsce, nie wiedząc nawet kiedy, tak szybko minął jej ten czas.

— Bywajcie zdrowe, panny!

— Pomóż staruszce wysiąść.

Wyszła na peron dworca w Amsterdamie i zaraz zwróciła się do jednego z urzędników.

— Mój panie urzędniku, może mi pan powie, gdzie... gdzie...

— Co chcecie wiedzieć, matulu?

— Ach Boże, chciałabym wiedzieć, gdzie mój syn mieszka, zapomniałam, jak się ta ulica nazywa.

— Czy to gdzie tutaj w pobliżu?

— Nie wiem.

— Jakże on się nazywa?

— Wilhelm.

— Dobrze, a dalej?

— Wilhelm de Boer.

— Nie znam... Czemże on jest?

— Na posadzie biurowej.

— Nie wiecie gdzie mieszka?

— Ach, żeby mi tylko wpadł do głowy. Czekaj pan...

Ale urzędnik odwołany, śpiesznie pobiegł do swoich obowiązków.

Z dworca ruszyła drobniutkim krokiem na ulicę i przechodząc koło wozów tramwajowych, natężała umysł i rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć. Lecz nie mogła. Mimo największego natężenia umysłu nie mogła. Była to taka jakaś nieprzyjemna nazwa, taka długa, obrzydliwa. Spróbowała jeszcze raz i drżąc, zapytała się motorowego:

— Mój panie, nie słyszał pan co o moim synu?

— O waszym synu?

— Nazywa się de Boer.

— Ba, mateczko, tutaj jest ze stu takich, co się nazywają de Boer. Nie wiecie, na której ulicy mieszka?

— Ulica... ach, ta ulica... Tak dobrze wiedziałam.

— Dlaczegóż nie kazaliście sobie napisać?

— Nie umiem czytać, drogi panie.

— Powiedz, Tynus, słyszałeś co o jakim de Boer?

— De Boer... Znam jednego szewca de Boer... może to ten?

— Ach Boże! nie, nie, drogi panie... Mój syn jest na posadzie.

Nikt nie mógł jej dopomódz.

Od szybkich, drżących ruchów szczęk zmieniało się jej oblicze, na usta położyła drżącą rękę. Cóż tu począć? Chodzić dalej i pytać, aż go znajdzie? Poszła na prawo w kierunku ulicy Wesper, oglądała się trwożnie za ludźmi, szła powoli środkiem ulicy, usuwając się każdemu, gapiąc się na każdego i bacząc, czy to przypadkowo nie jej Wilhelm. Potem znowu przystanęła i pytała cicho:

— Nie zna pan Wilhelma de Boer?

Nikt go nie znał. Poradzono jej zapytać się w jednym kramie, gdzie sprzedawano masło, ser i jaja, lecz sklepiczarka nie słyszała nic o żadnym Wilhelmie de Boer.

Gdy przeszła całą ulicę Weesper, wróciła zmęczona, pytając ciągle po drodze aż do dworca kolejowego. Tam wróciwszy, usiadła smutna na schodach i zaczęła rzewnie płakać.

— Co wam jest, kobieto?

— Szukam mego syna.

— Czy się wam gdzie zagubił?

— Nie, nie.

I rozpoczęła objaśniać, jak i co. Potem przymrużyła oczy i zaczęła się modlić. Zawsze, gdy ją troska gniotła, modliła się. Więc i teraz złożyła drżące ręce: „Boże wielki na niebie!... powiedz mi, jak się ta ulica Wilhelma nazywa... natchnij mnie, dobry Panie!"

— Czy to ten rzeźnik?

— Nie, nie. On ma posadę biurową. „Boże święty, dopomóż mi!"...

— Byliście się pytać na policyi?

— Dajcie spokój, nie posyłajcie staruszki nadaremnie na policyę.

— Siądźcie sobie tutaj w poczekalni.

Cóż miała począć innego? Tam przynajmniej nie było tylu ludzi gapiących się na nią, a nie mogących jej dopomódz. Usiadła na jednej z ław w zamyśleniu, dręcząc się, poruszając kościstemi szczękami i przygryzając wargi.

Mijały długie godziny, a nazwisko ulicy jakoś nie mogło się jej przypomnieć, to niepoczciwe, brzydkie, długie nazwisko.

Przesiedziała tak kilka godzin w zadumie, coraz mniej myśląc, oczy jej były gorące i znużone, ciało pochyliło się. Gdy wieczorem inni wycieczkowcy wrócili na stacyę, siedziała jeszcze ciągle na tem samem miejscu z koszykiem goździków i flaszką mleka, którego ani nie tknęła.

— Zobaczyliście go, mateczko?

— Nie — odrzekła z płaczem... Już mnie teraz nic nie cieszy... nic, nic...

*Herman Heyermans.*

# Co i o czem piszą.

Jak nieraz błędnem może być interpretowanie starych obrazów, zabytków, wykopalisk itp., dowodzi tego rozprawa X. J. Wilperta, znakomitego badacza starożytności, ogłoszona świeżo w wydawanych przez instytut francuski w Rzymie *Mélanges d'archéologie et d'histoire.* Oto z pracy tej okazuje się, iż sławne freski w bazylice św. Klemensa w Rzymie za Coloseum, odnoszące się do św. Cyryla i Metodego, były dotąd tak mylnie interpretowane, iż zakrawa to niemal na humorystykę. Mianowicie scenę sądu ostatecznego, czyli scenę sądu nad zbrodniarzami i zatwardziałymi grzesznikami, uważano za grupę świętych, a Esterę klęczącą przed Ahaswerem za św. Cyryla, klęczącego przed cesarzem bułgarskim Michałem III-cim. Oto co o tych swojego rodzaju „odkryciach" xiędza Wilperta na temat owych sławnych fresków św. Cyryla i Metodego donosi rzymski korespondent *Gazety Lwowskiej*:

Dwa z fresków tych w podziemnej bazylice św. Klemensa — pisze on — wymagają objaśnień: sceny, poczytywane dotąd jako odnoszące się do żywota św. Katarzyny i do jej męczeństwa, oraz fresk, mający przedstawiać św. Cyryla i Metodego, klęczących przed Zbawicielem. Pokazuje się, że ani jedno, ani drugie z malowideł nie odpowiada wcale dotychczasowym tłómaczeniom.

Pierwsze z tych malowideł ściennych wyobraża — Sąd ostateczny. Fresk jest już bardzo zniszczony, wszelako z fotografii można rozpoznać Chrystusa siedzącego między apostołami: po prawej stronie sprawiedliwi, po lewej potępieńcy między czartami. Pod tą kompozycyą w niszy wymalowane jest słynne wyobrażenie M. Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Jakim-że sposobem można było wziąć Sąd ostateczny za sceny z życia św. Katarzyny? Poszło to stąd, że przed niektórymi z potępieńców są krótkie napisy. I tak np. *An* (Annasz) i *Kai* (Kaifasz). Owe *Kai*, przeczytano jako Kat. i przypisano św. Katarzynie. Grupę sprawiedliwych uznano za... koncylium, jakie papież Zozym odprawił w r. 417 w bazylice św. Klemensa, a w części za dysputę św. Katarzyny. Wszystko to jest niebywałem nagromadzeniem błędów.

Wartość przedstawienia Sądu ostatecznego jest o tyle znaczną, że ono jest najstarszem znanem, choć można przypuścić, iż w pierwotnych bazylikach bywał malowany. Powyższy fresk pochodzi z połowy IX wieku, prawdopodobnie podczas odnowienia bazyliki po trzęsieniu ziemi z r. 847.

Drugi fresk, który uważano za wotywny i jako przedstawienie św. Cyryla i Metodego, klęczących przed Chrystusem Panem, posiada napis wykluczający charakter wotywny malowidła. Jest to więc napis grobowy. Napis jest tak uszkodzony, że w całości odczytać go już nie można, wszelako słowa: *peccatori requiem aeternam*, wskazuje na grób. Fresk sam tłumaczy się więc w następujący sposób: z dwóch postaci (nie klęczących, ale stojących) przed Zbawicielem, jedną jest zmarły, którego poleca Chrystusowi św. Klemens, obok zaś stojący św. Andrzej i archaniołowie Michał i Gabryel. Druga postać z nimbusem kwadratowym (a więc żyjąca), ofiarowuje Chrystusowi kielich eucharystyczny. W postaci zmarłego, ukazującego się przed Najwyższym sędzią, należy widzieć św. Cyryla, zmarłego w Rzymie, w roku 869 i pochowanego w bazylice św. Klemensa. Okoliczność, że przy nim stoi św. Andrzej, patron Greków, wskazuje na pochodzenie greckie (?) apostoła (z Solunia). Osobą żyjącą (z nimbusem kwadratowym) nie może być nikt inny, tylko św. Metody, brat Cyryla, który go przeżył i zajął się pochowaniem onego. Św. Cyryl został pochowany w marmurowym sarkofagu w tem prawdopodobnie miejscu, gdzie się fresk znajduje. Kiedy w końcu XI. stulecia, na podziemnej bazylice wybudowano inną wyższą, relikwie św. Cyryla zostały przeniesione razem z sarkofagiem do nowej, nad tem miejscem, gdzie był pierwotny jego grób. Wobec tego mamy wyobrażenie św. Cyryla, a za to wypada odrzucić tłumaczenie innego fresku, w którym upatrywano św. Cyryla, klęczącego przed bułgarskim cesarzem Michałem III. Dziwnem było w istocie widzieć świętego klęczącego przed królem, który w dziejach znany jest z przydomka: pijaka.

Z fotografii, dokładnie zbadanej, x. Wilpert przekonał się, że domniemany św. Cyryl jest... kobietą, czego dowodzi naszyjnik z pereł i drogich kamieni. Jest to więc Ester wstawiająca się przed Ahaswerem za ludem żydowskim, jako symbol Najśw. Dziewicy, wstawiającej się za ludźmi. Oba wyobrażenia uważane dotąd za św. Cyryla i Metodego, uznaje Wilpert za asystentów papieża Mikołaja, w obrazie przedstawiającym nie pogrzeb św. Cyryla, ale przeniesienie ciała św. Klemensa z Watykanu do tejże bazyliki. Obraz tak jest zepsuty przez restauracyę, że n. p. jeden z czterech dyakonów, dźwigających ciało, został przemalowany na... kobietę, płaczącą.

# Marsz żałobny Szopena.

Paryski korespondent berlińskiego *Local-Anzeigera*, p. Zygmunt Feldmann, pisząc o pomniku Szopena, odsłoniętym dnia 2 b. m. w paryskim parku Montceau bez wszelkich uroczystości — opowiada przy tej sposobności, jak powstał „Marsz żałobny" Szopena. Opowiadanie swoje nawiązał p. Feldmann do tej okoliczności, że na wspomnianym pomniku Szopen trzyma ręce na klawiaturze, a głowę wznosi do góry.

„Gdybyż to był fortepian — woła p. Feldmann — który w kwietniu 1902 r. widziałem w dziwacznym, arabsko-romańsko-alchemistycznym zamku, zbudowanym na szczycie wzgórza Montmartre przez Ziema, słynnego malarza nieba weneckiego! Ziem, który u Paganini'ego uczył się gry na fortepianie, w Berlinie był kierownikiem szkoły dla akwarelistów, u cesarzowej Fryderykowej i u Bismarka był prawie codziennym gościem, znał wszystkie literackie i artystyczne wielkości, liczy dzisiaj 90-ty rok życia." Otóż ów Ziem opowiadał naówczas berlińskiemu dziennikarzowi, jak powstał „Marsz żałobny" Szopena.

„We czwórkę — opowiadał Ziem — byliśmy na obiedzie u Pawła Chevandiera, syna senatora francuskiego. Prócz gospodarza domu zasiadł do stołu ks. Edmund Polignac, hr. Ludre i ja. Paweł Chevandier nie bez talentu oddawał się malarstwu i posiadał wielką pracownię, do której udaliśmy się po spożyciu obiadu, ażeby wieczór przepędzić na wesołych i poważnych naprzemian rzeczach, jak to bywa w młodości pomiędzy przyjaciółmi, którzy nie gardzą dowcipami, niezawsze smacznymi. W pracowni owej znajdował się kościotrup. Ziem postawił go na środku pracowni i urządził z nim próbę boksowania, poczem ks. Polignac posadził go przy fortepianie i kościstymi palcami szkieletu zaczął wygrywać jakąś melodyę. Zapadał już zmrok i muzyka ta sprawiała ponure wrażenie. Nagle odezwały się trzy głuche uderzenia. Paweł Chevandier, który był przesądny, zawołał: „Boże, bądź litościw mojej duszy! Zapalono światła i wtedy hr. Ludre dla uspokojenia Chevandier'a oświadczył, że to on jest sprawcą owych trzech uderzeń, bijąc obcasem w puste wiaderko. Umieściliśmy szkielet w kącie i było po zabawie.

W kilka tygodni później — mówił Ziem — przyszedł do mnie wieczorem Szopen, wyglądający zupełnie tak, jak go opisała pani Sand. Przepędził właśnie straszną noc, walcząc z widziadłami we śnie. Był jeszcze przerażony i zdawało się, że gniecie go jeszcze zmora, od której uciekł do mnie. Opowiadanie jego przypomniało mi naszą farsę z kościotrupem, więc opowiedziałem ją Szopenowi, sądząc, że go uspokoję. Omyliłem się. Przeciwnie, Szopen zadrżał i oczy swoje utkwił w fortepianie, który co dopiero nabyłem, ażeby go przy sposobności ofiarować Szopenowi. Fortepian ów pokryłem malowidłami i pokazując je Szopenowi, czekałem na pierwsze jego zdanie, ażeby skorzystać ze sposobności i wystąpić z ofiarą upominku. Ale on, jakby nie widział malowideł.

— Masz pan kościotrupa? — zapytał zdławionym głosem.

Nie miałem go, ale odpowiedziałem, że się postaram o szkielet, jeżeli Szopen przyjdzie do mnie na obiad. Tak się stało. Zaprosiłem jeszcze malarza Ricarda i Pawła Chevandiera, który przywiózł ze swojej pracowni kościotrupa. Po obiedzie musiałem powtórzyć ze szkieletem całą scenę, odegraną przed kilku tygodniami. Ale rzecz ta nie była już wesołą, gdyż włożył w nią Szopen tragikę swojej duszy. Owinął się w biały całun pogrzebowy, który przywiozłem z Hiszpanii, i szeroko otwartemi źrenicami spoglądał na ruchy kościotrupa. A gdy go umieściłem przy fortepianie, przybiegł Szopen i porwał kościotrupa w objęcia swoje, przyciskając go do piersi. Zaparło nam oddech i w przerażeniu nawet nie spostrzegliśmy, że sam Szopen usiadł teraz przy fortepianie i zaczął grać. Była to melodya tak bolesna i beznadziejna, głęboka i nadziemska, jakiej nigdy nikt nie słyszał. Każdy akord był skargą, każda nuta łzą, wyrazem rozpaczy, która szeroką falą tonu rozlewała się w przestrzeni. Nagle urwała się gra w połowie akordu. Pośpieszyliśmy, ażeby podjąć Szopena. Zemdlał w całunie żałobnym i upadł na dywan.

We dwa, czy trzy miesiące później w salonie ks. Marceliny Czartoryskiej grał Szopen po raz pierwszy swoją sonatę b-mol. Paweł Chevandier i ja byliśmy również obecni. I przyszła chwila, gdy obaj poruszyliśmy się i spojrzeliśmy na siebie. W marszu żałobnym poznaliśmy improwizacyę w mojem pomieszkaniu. Marsz ów powstał przy moim fortepianie, który z tego powodu zachowałem, jako relikwię historyczną."

# KRONIKA.

Lwów 8 sierpnia.

**Odznaczenie.** W uznaniu długoletniej owocnej pracy, przy sposobności przeniesienia w stan spoczynku, pan Józef Wysocki, inspektor kolei państwowych i naczelnik I sekcyi konserwacyi kolei we Lwowie, otrzymał na podstawie cesarskiego upoważnienia tytuł nadinspektora kolei państwowych.

**Rekolekcye** dla kapłanów odbędą się w rezydencyi OO. Jezuitów w Czerniowcach od 28. do 30. sierpnia włącznie. Początek 27. sierpnia wieczorem. Wczesne zgłoszenia uprasza się nadsyłać do X. Superyora, Czerniowce, plac Ferdynanda 13.

**Nowe koleje w Galicyi.** Ministerstwo kolei żelaznych udzieliło p. Karolowi Pietrzykowskiemu w Krynicy koncesyę na przedsięwzięcie wstępnych robót technicznych dla dwóch linij kolei wąskotorowej, pędzonych siłą elektryczności, a to: a) z Muszyny na Powroźnik do Krynicy i b) z Krynicy na Słotwiny, Roztokę wielką i Floryankę na Grybów.

**Napoleon Łuszczkiewicz,** który, jak to wczoraj donieśliśmy, odebrał sobie życie w Truskawcu, był Krakowianinem, od wielu jednak lat osiadł we Lwowie, i tu jako wielce zdolny inżynier-architekt prowadził przedsiębiorstwa budowlane. Ostatnie, w toku jeszcze będące budowy, to gmach tow. muzycznego przy ul. Chorążczyzny, koszary dla trenu przy ul. Arciszewskiego, cztery kamienice przy ul. Stryjskiej, kamienice przy ul. Puławskiego i św. Jacka. Przyczyną samobójstwa był rozstrój nerwowy. Inż. Łuszczkiewicz od dłuższego czasu zdradzał stan silnego zdenerwowania i cierpiał na bezsenność, która go w wysokim stopniu wyczerpywała.

Z porady swego brata, dr. Józefa Łuszczkiewicza, inspektora szpitali kraj., miał wyjechać do Marienbadu na kuracyę; mnóstwo interesów jednak stało na przeszkodzie wyjazdowi. Ostatecznie w niedzielę wyjechał do Truskawca, gdzie jednak następnego dnia samobójstwem życia dokończył. Zmarły osierocił żonę i dwoje dzieci.

Inż. Łuszczkiewicz był szwagrem zmarłego w tragiczny sposób w Krakowie dr. Gustawa Piotrowskiego, a sam ożeniony był z siostrą dr. Jendla, również zmarłego śmiercią tragiczną.

Od osoby, która znała dobrze denata, otrzymujemy jeszcze następujące informacye: S. p. Napoleon Łuszczkiewicz był człowiekiem rzadkiej zacności i prawości, ogromnie uzdolniony, ogromnie delikatny w stosunkach z ludźmi, zawsze gotowy przedzej sam stracić, niż kogoś na stratę narazić. S. p. Napoleon był jednym z najpiękniejszych postaci w naszem społeczeństwie. Ale właśnie ta ogromnie subtelna i pewna jego natura przyczyniła się do rozwinięcia w nim neurastenii, tej strasznej choroby, która go doprowadziła do samobójstwa. Podejmując się każdej architektonicznej pracy, był on zawsze w rozdrażnieniu nerwowem przed odpowiedzialnością, jaka na niego spada, tymczasem w tym roku dostał ogromnie trudną robotę: pewien izraelita, właściciel dużej, starej, trzypiętrowej, a dobrze się rentującej kamienicy, postanowił w celu usunięcia wilgoci, coraz bardziej szerzącej się w parterze, podpiąć jej fundamenta i w miejsce płytkich i małych piwnic, zbudować ogromnie głębokie. Był to problemat architektoniczny bardzo trudny, z tego zwłaszcza względu, że całe śródmieście Lwowa jest zbudowane na [illegible]. Wielu architektów odmówiło się już tej roboty. S. p. Łuszczkiewicz podjął się jej jako wiadome dzieła niesłychanie trudnego i świetnie się z niego wywiązał. Ale ta obawa, jaka ciągle go trapiła podczas wykonywania tego „Meisterstück" technicznego, ta odpowiedzialność, jaka na nim ciążyła za życie tych wszystkich robotników, którzy w tych podziemiach pracowali, a pomiędzy którymi on się zawsze znajdował, ilekroć wykonywaną była trudniejsza i niebezpieczniejsza robota, to wreszcie ogromne finansowe ryzyko, nie będące w żadnym stosunku do dochodu, jaki ta praca mu przynosiła, gdyż w razie zawalenia się olbrzymiej, trzypiętrowej kamienicy, byłby musiał wynagrodzić właściciela za straty, jakie on by poniósł: wszystko to doprowadziło go do strasznego rozstroju nerwowego. I w tym rozstroju nerwowym szukać należy tych czarnych myśli, które go do samobójstwa popchnęły.

**Koncert**, połączony z produkcyami deklamacyjno-humorystycznemi, urządzony przez Jana Galla, Jana Hrehorowicza tenora opery w Zagrzebiu, a dawniej tenora operetki lwowskiej i Józefa Zejdowskiego, artystę rządowych teatrów warszawskich, odbędzie się w Lubieniu wielkim, w sali zakładu leczniczego w niedzielę 12 bm.

**Podpalania.** Z powiatu bobreckiego donoszą, że zwolennicy strejków rolnych, zirytowani tem, że one w tym roku nie doszły do skutku, starają się zniszczyć „panów" w inny sposób, niszcząc ich mienie z dymem. I tak z soboty na niedzielę podłożyli oni ogień w Romanowie, własności hr. R. Potockiego, pod świeżo zwiezioną pszenicę i spalili jej 150 kóp wartości 3.000 koron, a nadto zarządcy dóbr hr. Potockiego p. Gajewskiemu przysłali list z pogróżkami, że to dopiero początek pożogi. Tej samej nocy spalono w Dżwinogrodzie trzy sterty zboża, z tych dwie na szkodę tamtejszego dzierżawcy, a jedną na szkodę hr. Potockiego. Zwolennicy strejku nie oszczędzają też i tych włościan, którzy mimo zakazu zeszli do roboty. Otóż w Romanowie spalili oni jednemu z włościan niestrejkujących półtorej sterty zboża, a innemu pół sterty. Nadto tłuką im szyby, niszczą plony w polu — specyalnie zaś kartofle i buraki.

Żandarmerya poszukuje sprawców pożarów i spodziewać się należy, że zbrodniarze ci dostaną się niebawem w ręce sprawiedliwości.

**Samobójstwo z nędzy.** Introligator z Białej, Karol Braun rzucił się tymi dniami pod koła pociągu i zginął na miejscu, rozszarpany w drobne kawałki. Pozostawił żonę i pięcioro dzieci. Powodem samobójstwa były jak najgorsze stosunki finansowe.

**Konkurs na stypendya.** Rektorat ck. Akademii weterynaryi w Wiedniu rozpisuje konkurs na sześć stypendyi po 600 koron rocznie dla cywilnych słuchaczy czteroletnich wydziałów szkół weterynarskich. Ubiegać się mogą tylko młodzieńcy posiadający obywatelstwo austryackie. Podania do 31 sierpnia.

**Próba „Minimaxa".** Wczoraj nad wieczorem odbyła się na placu powystawowym publiczna próba gaszenia ognia za pomocą, znanego już we Lwowie z kilku demonstracyi, aparatu zwanego „Minimax". Na próbę przybyło kilkunastu radnych miasta, naczelnik straży ogniowej i wiele publiczności, mimo, iż dzień był bardzo chłodny i wietrzny. Przedsięwzięto cztery próby gaszenia ognia za pomocą aparatu „Minimax", a mianowicie ugaszono zapalony stos suchego drzewa, następnie drugi taki sam stos obłożony wiórami, oblany terem i naftą, potem ugaszono zapalony ter wlany do dołu wykopanego w ziemi o powierzchni 1½ metra kw., zaś w końcu podpalono wielką pakę wypełnioną wiórami namoczonemi w terze. Wszystkie cztery próby wypadły zupełnie zadowalniająco. Prąd cieczy dobywający się z aparatu gasił natychmiast dość wielkie płomienie.

„Minimax" jest to puszka z cienkiej blachy w formie głowy cukru i mniej więcej w jej wielkości, zaopatrzona z boku w wygodne do trzymania w ręce ucho. U szczytu ma otwór, we środku podstawy umocowany gwóźdź z gałką. Wewnątrz puszka wypełniona jest roztworem sody; również wewnątrz na podstawie, w tem miejscu, gdzie wystaje do gwóźdź, umieszczona jest podwójna rurka szklanna tj. jedna rurka umieszczona w drugiej szerokiej. Jedna z tych rurek wypełniona jest jakąś solą potasową rozpuszczoną w wodzie, a druga kwasną wodą tj. rozcieńczonym kwasem azotowym. Gdy zachodzi potrzeba użycia aparatu, wtedy on rozbija obydwie te rurki, a ciecze w nich zawarte tj. sól potasowa i kwas azotowy mięszają się i powodują tworzenie się wielkiej ilości gazów, które z wielką siłą wypierają ciecz przez puszkę zawartą w puszce rozpuszczoną sól sodową podobnie jakby z wielkiego syfonu. Strumień ten cieczy wyrzucany jest z taką siłą, że sięga nawet 10—12 metrów.

Gdy wybuchnie gdzieś pożar a aparat „Minimax" jest pod ręką, wtedy bierze się aparat za ucho, uderza gwoździem umieszczonym w jego podstawie o podłogę i, natychmiast z aparatu dobywający się strumień cieczy skierowuje się na płomienie. Ciecz ta, której głównym składnikiem [illegible], rozgrzana wydziela wiele kwasu węglowego, a gaz ten szybko tłumi płomienie. Oczywiście „Minimax" ugasić nie może wielkiego pożaru; jednak bardzo jest przydatny w chwili, gdy ogień jest jeszcze mały. A ponieważ jest to aparat dość mały, nie większy jak głowa cukru, więc łatwo można go mieć pod ręką w miejscach, w których o ogień nie trudno, natychmiast po wybuchu ognia użyć go i z pomocą jego uniknąć rozszerzenia się niszczącego żywiołu. Ze względu na tę pożyteczność „Minimax" zasługuje w wysokim stopniu na polecenie go do użytku wszędzie tam, gdzie czy to budynek jakiś, np. z powodu dachu słomianego, czy też narażony jest na wybuch ognia, albo zboże każą przed ogniem mieć się na baczności.

Aparaty „Minimax" wyrabiane są w dwóch wielkościach po 60 koron i po 80 koron. Napełnienie aparatu roztworem sody jakoteż owe dwie rurki szklane, napełnione potasem i kwasem azotowym, kosztują zaledwie kilka centów.

**Samobójstwo.** Dzisiaj o wpół do pierwszej z południa na górze Stracenia wystrzelił do siebie z rewolweru w zamiarze samobójczym niejaki Teodor Makarczuk, służący Braci Tercyarzy z Kołomyi. Makarczuk ukradł przed kilkoma dniami swoim chlebodawcom około 150 złr. i uciekł z Kołomyi. Rana, którą sobie dzisiaj zadał w czoło nie jest śmiertelną.

**Utonięcie.** Jan Lgota Lgocki, uczeń VI klasy gimnazyum jarosławskiego, bawiący przez wakacye u p. Czerwińskiego w Gaiku koło Dobczyc, utonął w Rabie w czasie kąpieli.

**Rozruchy w Studzieńcu.** Z Warszawy donoszą, że w domu poprawy, znajdującym się w Studzieńcu pod Skierniewicami, pod wpływem wiadomości dochodzących ze świata o ruchu rewolucyjnym, objawiły się wśród chłopców pewne oznaki wzburzenia i rozgorączkowania. Pomimo ścisłego dozoru, do zakładu przedostawały się jakieś podejrzane jednostki. Chłopcy zbierali się często, rozmawiając o czemś bardzo żywo; jednocześnie ze zbliżeniem się zaś przełożonych, rozmowy milkły. Chłopcy zajęli wobec wychowawców postawę nieprzychylną, wreszcie podczas zabawy sprzeczki zranili w głowę kamieniem jednego z nauczycieli i otwarcie wypowiedzieli posłuszeństwo.

Na wieść o zaburzeniach wyjechał do Studzieńca prezes osad rolnych p. Janowski ze swym pomocnikiem prof. Nalepińskim. Wystąpienie poważanego przez chłopców prezesa nie odniosło tym razem pożądanego skutku. Chłopcy nie chcieli słuchać żadnych perswazyi i przedłożyli szereg żądań. Nie czekając odpowiedzi, zbuntowana młodzież opanowała w nocy z czwartku na piątek szopę z narzędziami straży ogniowej i gospodarczemi i uzbrojona w noże, tasaki, siekiery, widły, kosy i bosaki ruszyła na dom jednego z „ojców rodziny", p. Jedlichowskiego, („Ojcami rodziny" nazywają się opiekunowie i wychowawcy pewnej grupy wychowańców Studzieńca, tworzącej t. zw. „rodzinę"). P. Jedlichowski i mieszkańcy domu, widząc groźną postawę uzbrojonej tłuszczy wyrostków, zaczęli wołać o pomoc. Zoryentowawszy się jednak, że wszystkie gmachy zostały opanowane przez zbuntowanych, zagrozili tłuszczy rewolwerami. Ale i to nie poskutkowało, banda przypuściła szturm do domu. Wówczas mieszkańcy dali sześć strzałów rewolwerowych. Trzech wyrostków zostało ranionych śmiertelnie, trzech lżej.

Na odgłos strzałów wybiegł ze swego mieszkania prezes Janowski i wraz z prof. Nalepińskim, próbowali jeszcze raz uspokoić wzburzonych wychowańców. Chłopcy na razie uspokoili się, zaczęli przepraszać prezesa i zapewnili, że włos mu z głowy nie spadnie, po pewnym jednak czasie, podżegani przez jakichś nieznajomych przybłędów, kryjących się po za plecami chłopców, zajęli znów groźną postawę i wywędrowali na zewnątrz parkanów zakładu. Niewątpliwie łagodność i takt kierownika instytucyi osiągnęłyby ten skutek, że zbuntowani po paru godzinnem awanturowaniu się, powróciliby ze skruchą do zakładu. Niestety ktoś z wychowawców, nie porozumiawszy się poprzednio z prezesem, podążył do Skierniewic i zawiadomiwszy o całem zajściu policyę, prosił o przysłanie wojska. Ze Skierniewic wysłano natychmiast do Studzieńca 22 żołnierzy i 12 strażników ziemskich, uzbrojonych w karabiny pod dowództwem naczelnika straży ziemskiej. Zbuntowani chłopcy, dowiedziawszy się o przybliżaniu się wojska, porzucili broń, w jaką się uzbroili poprzednio i zbiegli do sąsiednich lasów rządowych, które szerokim pasem otaczają cały Studzieniec. Pomimo pościgu zbiegłych nie odnaleziono. Podobno kierownicy zakładu poczynili starania, aby wojsko cofnięto, mając nadzieję, że chłopcy już ochłonęli i powrócą do zakładu, od czego ich powstrzymuje obecność wojska.

**Opowiadania o sławnych śpiewaczkach.** Dr. Adolf Kohut, autor wielu monografii poświęconych teatrowi i sławnym aktorom, wydał świeżo w Berlinie bardzo zajmującą książkę p. t. „Królowe pieśni w ostatnich trzech stuleciach". W tej książce dr. Kohut opowiada wiele bardzo interesujących anegdot z życia sławnych śpiewaczek. Kilka z tych opowiadań zasługuje, by je przytoczyć.

I tak sławna Zofia Arnould, która głosem swoim zachwycała Paryżan w drugiej połowie ośmnastego stulecia, celowała bardzo ostrym dowcipem. Pewnego dnia uskarżała się przed nią jedna z jej koleżanek, głupia, ale bardzo piękna, że nie wie co począć ze zbyt wielką liczbą wierzycieli.

— Ależ moja droga, — rzekła pani Arnould — niech pani tylko zacznie mówić, a wszyscy uciekną.

W pewnem towarzystwie ktoś opowiadał, że markiza H. obito i że on nie wyzwał na pojedynek tego, który go obił.

— Jak można spokojnie znieść coś podobnego!— zauważył z oburzeniem któryś z panów.

— Ba — odparła pani Arnould — markiz H. zbyt jest mądry, by się troszczył o to, co się dzieje za jego plecami.

Dowcipna śpiewaczka nie oszczędzała też i najwyższych dygnitarzy. Często dowcip swój ostrzyła na Terray'u, ministrze finansów Ludwika XV. Pewnego razu — było to w zimie — spotkała pani Arnould na ulicy ministra, który ówczesnym zwyczajem miał zawieszony na sznurku zarękawek.

— Po co panu mufki? — rzekła p. Arnould zdziwiona — wszak pan zawsze trzyma ręce w naszych kieszeniach.

Innym razem na ulicy p. Arnould zobaczyła znajomego lekarza, który niósł na ramieniu strzelbę.

— Czy pan się boi — zapytała go — by przypadkiem pańskie lekarstwa komuś nie pomogły?

Również bardzo dowcipną była współczesna pani Arnould włoska śpiewaczka Katarzyna Gabrielli, którą na polecenie pana Metastasio cesarz Franciszek I powołał do wiedeńskiej opery nadwornej. Gabrielli miała niezwykły temperament, była bardzo rozumna i nadzwyczaj piękna. To też ustawicznie była zawikłana w jakieś miłosne awanturki. Poseł francuski przy dworze wiedeńskim, który był w niej zakochany i nie bez powodu zazdrosny o swego portugalskiego kolegę, skaleczył ją w pasyi szpadą. Razu pewnego zaprosił pannę Gabrielli wicekról Sycylii, by śpiewała na jakimś wieczorku, który on urządzał. Zaproszenie to przyszło pannie Gabrielli bardzo nie w porę. Na wieczorku śpiewała umyślnie źle i bardzo cicho. Wicekról kazał jej zagrozić, że zamknie ją do więzienia. Gabrielli odpowiedziała:

— Wicekról może mnie zmusić bym krzyczała, ale nie może mnie zmusić bym śpiewała.

Wicekról dotrzymał groźby i kazał pannę Gabrielli zamknąć na dwanaście dni do więzienia. Śpiewaczka była w więzieniu w doskonałym humorze. Towarzyszom swojej niedoli, którzy w więzieniu siedzieli za długi, popłaciła je, a biednym porozdawała hojne dary.

Niemniej jak Arnould i Gabrielli dowcipną była także sławna śpiewaczka włoska Julia Grisi, zmarła w r. 1869 w Berlinie. Wyszła ona po raz wtóry za mąż za śpiewaka Józefa Mario. Car rosyjski Mikołaj I spotkał raz panią Grisi w towarzystwie jej dzieci i, czyniąc aluzyę do nazwiska ich matki, nazwał je w żarcie „gryzetkami".

— Nie, najjaśniejszy panie, to są maryonetki! — odpowiedziała pani Grisi, czyniąc aluzyę do nazwiska swego męża.

Sławna Marya Felicitas Malibran, siostra zmarłego niedawno w 102 roku życia Emanuela Garcii, jako siedmnastoletnia dziewczynka wyjechała do Ameryki z ojcem swoim, który został podówczas kapelmistrzem w Nowym Yorku. Tam z niesłychanem powodzeniem rozpoczęła karyerę sceniczną jako Rozyna w „Cyruliku sewilskim". W dwa lata później w r. 1827 wyszła za mąż za pozornie bardzo majętnego Francuza pana Malibran i na jego życzenie porzuciła scenę. W parę miesięcy po ślubie mąż jej ogłosił bankructwo i został się bez środków do życia. Pani Malibran wróciła na scenę, śpiewała z bezprzykładnem powodzeniem, zbierając sławę i majątek. Wykupiła męża swojego z więzienia, w którem siedział za długi, lecz nie żyła z nim więcej. W kilka lat potem uzyskała z nim rozwód i wyszła za skrzypka Karola de Beriot, którego namiętnie kochała. W rok po ślubie była z mężem w Manchesterze, gdzie przyrzekła wziąć udział w wielkim koncercie. Tego samego dnia na przejażdżce spadła z konia i dość poważnie uderzyła się w głowę. Mimo zakazu lekarzy wieczór wystąpiła na koncercie.

— Muszę — rzekła do przyjaciół — bo przyrzekłam, a także i dlatego, by mąż mój nic nie dowiedział się o wypadku. On gra dzisiaj wieczór, a to by go niepokoiło i przeszkadzało mu w grze. I śpiewała na koncercie ze wspaniałym sukcesem. W kilka dni potem miała wielka śpiewaczka wziąć udział w przedstawieniu na cele dobroczynne. Choć stan jej zdrowia znacznie po owym koncercie pogorszył się, mimo to znów wystąpiła, by nie sprawić zawodu. Gdy skończyła pieśń i zeszła z estrady, natychmiast zemdlała. A tymczasem sala trzęsła się od oklasków. Wołaniom „bis" nie było końca. Już miał reżyser wejść na estradę i zawiadomić publiczność o zemdleniu artystki, gdy ona uzyskawszy na chwilę przytomność i słysząc wołania publiczności, podniosła się, powstrzymała reżysera i wyszła na estradę. Zaśpiewała pieśń po raz drugi w wspaniały sposób. Lecz zaledwie zeszła z estrady, znów zemdlała. Przewieziono ją do hotelu.

W trzy dni potem umarła na zapalenie mózgu. Tak zeszła ze świata u szczytu sławy Marya Malibran, która zdaniem wielu krytyków była jedną z największych dramatycznych śpiewaczek.

Dwie najznakomitsze niemieckie śpiewaczki: Wilhelmina Schröder-Devrient i Agnieszka Schebest nie były szczęśliwe. Pierwsza wyszła za mąż za aktora Devrienta siostrzeńca sławnego Ludwika Devrienta, później po raz drugi za dymisyonowanego oficera Doringa. W obydwóch małżeństwach była bardzo nieszęśliwa. Dopiero w pięćdziesiątym roku wyszła za mąż po raz trzeci za dzierżawcę dóbr Bocka, przy którym znalazła jakie takie szczęście małżeńskie. Agnieszka Schebest, wiedenka, wyszła za mąż za Dawida Fryderyka Straussa, głośnego autora „Życia Jezusa" i unieszczęśliwiła jego i siebie. Po latach uzyskała z nim rozwód, lecz nie powróciła na scenę, ale osiadła w Sztutgarcie i tam zmarła w 53 roku życia.

**Temperatura** dnia 6 sierpnia o godz. 7mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej + 15, we Lwowie +14, w Tarnopolu +14, w Czerniowcach +18, w Wiedniu +13, w Salcburgu +16, w Gracu +15, w Pradze +17, w Tryeście +25, w Abbazyi +22, w Raguzie +26, w Budapeszcie +18, w Berlinie +15, w Hamburgu +15, w Monachium +16, w Zurychu +14, w Genewie +14, w Lugano +18, w Anglii +14, w Paryżu +16, w Biarritz +22, w Nizzy +24, w północnych Włoszech +21, we Florencyi +21, w Rzymie +21, w Neapolu +14, w Palermo +25, w Madrycie +23, w Sztokholmie +14, w Petersburgu +13, w Wilnie +14, w Warszawie +14, w Moskwie +17, w Kijowie +15, w Odessie +18, w Serajewie +19, w Belgradzie +22, w Bukareszcie +24, w Sofii +21, w Konstantynopolu +24, w Atenach +25. (Temperatura według Celsiusza).

Chmurzy się. Deszcze w Czechach w Niemczech w Galicyi i w Rosyi.

**Zmarli.** Z Duninów Brzezińskich Marya Bzowska, żona właściciela dóbr ziemskich, umarła w Krakowie w 35 roku życia.

**Stan powietrza.** T. o g. 7 rano + 10 R. w poł. + 14 R. w cieniu, + 17 na słońcu. Bar. 766. Idzie w górę. Pogoda.

**Nic nie warte.**

— Czy pani młodsza córka ślizga się?

— E, proszę pani, to nic nie warte. Starsza dwa razy na lodzie nogę złamała i też za mąż nie wyszła.

# Widowiska i koncerty.

**Colosseum** Hermanów. Od 1 do 15 sierpnia. *Yukito Toro Trio*, sensacyjne oryginalne japońskie igrzyska wojenne. — *Viola de la Sera*, gwiazda subretek ekscentr. — *Vittorio Georgetto*, tancerze na rękach. — „Uderzająca piękność," wodewil. — 12 wspaniałych atrakcyj! — W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

# Z targów zbożowych.

**Wiedeń**, 6 sierpnia.

(Z.) Pogoda w ubiegłym tygodniu sprzyjała robotom w polu, to też dzięki temu także w Przedlitawii roboty około żniw są już na ukończeniu. Na podstawie próbnych omłotów, przedsięwziętych do tej pory, można sobie wyrobić w przybliżeniu sąd o wyniku tegorocznych żniw w Austryi. Otóż wedle sprawozdań z rozmaitych okolic państwa, sprzęt pszenicy wypadł znacznie lepiej, niż myślano, i jest zarówno co do jakości jak i co do ilości lepszy od średniego.

O wiele gorszym jest sprzęt żyta, i sądząc z dotychczasowych próbek na ogół biorąc, wypadnie on poniżej średniego.

Przyjemną niespodziankę natomiast stanowi zbiór owsa. Wypadł on zarówno jakościowo jak i ilościowo powyżej stanu średniego, o wiele lepiej niż w roku ubiegłym. Stosunkowo jest zbiór owsa w Austryi lepszy niż na Węgrzech.

Także sprzęt jęczmienia jest skończony. W Czechach wydał on najlepsze rezultaty, gdyż tam pogoda nadzwyczajnie sprzyjała zarówno dojrzewaniu ziarna jak i robotom żniwiarskim. Mniej pomyślnie natomiast wypadł zbiór jęczmienia na Morawie. — Przyjąć można, że tegoroczny sprzęt jęczmienia jest tam o 8 do 10% gorszy od zeszłorocznego.

Zagraniczni kupcy wciąż interesują się bardzo sprzętem jęczmienia w naszej monarchii. W Pradze zawarto już kilka transakcyi na eksport, przyczem jednak poszukiwano tylko same wyborowe gatunki. Kupcy z cesarstwa niemieckiego zachowują się na razie jeszcze z rezerwą, gdyż czekają, jak wypadnie zbiór jęczmienia w Niemczech. Ostatnimi dniami spadły tam ulewne deszcze, które popsuć mogą jakość niemieckiego jęczmienia.

Loco Wiedeń notowano dziś za 50 kilo następujące ceny:

Pszenica cisańska (77 do 81 kilo) 8·05 do 8·55, banatka (76 do 80 kilo) 7·65—8·15, słowacka (76 do 81 kilo) 7·45—8·00, dolno-austryacka (76 do 79 kilo) 7·60—7·95.

Żyto słowackie nowe (72 do 74 kilo) 6·55 do 6·70, rozmaite węgierskie (72 do 74 kilo) 6·45—6·65, austryackie nowe (72 do 74 kilo) 6·45—6·65.

Jęczmień morawski nowy loco stacya 7·25—7·30, z doliny Morawy 7·00—7·30, słowacki nowy 6·85—8·00, północno-węgierski nowy 5·60—8·20, cisański 5·69—7·40.

Kukurudza węgierska 6·60—6·80, Cinquantin 7·75—8·20.

Owies węgierski stary 8·75—9·50, nowy 7·00—7·40.

# TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

*(Depesze poranne).*

**Kartagina.** Wczoraj powiodło się wydobyć z morza część ładunku zatopionego parowca „Sirio". Rozbitki opowiadają, że kapitan, skoro tylko spostrzegł niebezpieczeństwo, pierwszy skoczył do łodzi z okrzykiem: „Niech się ratuje, kto może!" — czem wywołał ogólną panikę. Żołnierze i oficerowie nożami i rewolwerami torowali sobie drogę do łodzi.

**Kopenhaga.** Wczoraj obradował tu międzynarodowy zjazd w celu wyjednania praw wyborczych dla kobiet.

**Wiedeń.** *Wiener Ztg.* donosi: Cesarz sankcyonował uchwaloną przez Sejm galicyjski ustawę o uwolnieniu zakładów przemysłowych, magazynów surowca i związków produkcyjnych, oraz przemysłowych towarzystw akcyjnych od dodatków do podatków.

**Charlerois.** W kopalni węgla w Bois de Cassier urwała się winda i spadła na dno szybu głębokości 850 m. Dziewięciu robotników zabitych.

*(Depesze popołudniowe).*

**Petersburg.** Ministeryum handlu oświadcza urzędowo, że powszechny strejk się nie udał. Prócz Petersburga i Moskwy nie zauważono w żadnym okręgu przemysłowym znacznego strejku robotników fabrycznych. W Petersburgu według sprawozdań inspektorów fabrycznych strejkuje najwyżej trzecia część wszystkich robotników. Największa była liczba strejkujących drugiego dnia strejku, później zmniejszyła się. W ministerstwie spodziewają się, że w większej części fabryk jeszcze w bieżącym tygodniu podjęta będzie praca w zupełności.

**Ryga.** Na jednym z stojących tu na kotwicy okrętów szkolnych uwięziono 60 marynarzy. Wiadomość dzienników, że zorganizowała się tutaj rada delegatów robotniczych, aby objąć kierownictwo strejku, nie jest urzędownie stwierdzona.

**Moskwa.** Należy uważać, że strejk wcale się nie udał. Próby agitatorów wstrzymania robotników od pracy nie powiodły się. Agitatorów uwięziono, uniemożliwiono zarazem usiłowania ich zmierzające ku wywołaniu demonstracyj, zgromadzeń i procesyj, gdziekolwiek bowiem zbierały się tłumy, zaraz je rozpędzała żandarmerya. Liczba strejkujących dzisiaj zmalała. Z 200.000 robotników w Moskwie nie pracuje 20.000, w tej liczbie 10.000 drukarzy.

**Odessa.** Rosyjskie Towarzystwo żeglugi organizuje stałe kursa okrętów z Odessy do Nowego Jorku. Pierwszy parowiec odjedzie z początkiem października. Czas podróży ma wynosić 22 dni.

**Juzówka.** Oprócz dwóch kopalń francuskiego towarzystwa podjęto pracę we wszystkich innych kopalniach. Na jutro spodziewają się podjęcia pracy również w tamtych dwóch przedsiębiorstwach; można niemal z zupełną pewnością przypuszczać, że bezwłocznie nastąpi całkowity powrót do roboty. Strejk we francuskiem towarzystwie jest spokojny.

**Genua.** Załoga parowca „Buda", będącego własnością węgiersko-chorwackiego towarzystwa żeglugi, a przybyłego wczoraj do tutejszego portu, opowiada, że parowiec niósł pomoc okrętowi „Sirio" i zabrał 100 rozbitków na pokład, aby ich później wysadzić na ląd hiszpański. Kapitan „Budy" zaprzecza doniesieniu, jakoby przyszło do bójek podczas ratowania tonących, zapewnia dalej, że emigranci, którzy tłoczyli się na przodzie okrętu, zachowywali się dość spokojnie. Zaprzecza dalej kapitan, jakoby kilka parowców pojechało dalej, nie śpiesząc na ratunek tonącym. Zatonięcie statku przedstawiało przejmujący grozą widok. Kapitan okrętu „Sirio" nie chciał opuścić pokładu, musiano go przemocą uprowadzić. Prace ratunkowe trwały 3 godziny.

**Madryt.** Według urzędowego sprawozdania o katastrofie „Sirio", brak 328 podróżnych, w tej liczbie 14 marynarzy.

**Konstantynopol.** Na tureckim okręcie przewozowym Taif, który wyjechał z Trebizondy do Jemenu z rekrutami, wybuchł bunt; wskutek tego okręt musiał powrócić do Trebizondy.

**Rio de Janeiro.** Panamerykański kongres przyjął wniosek, według którego panamerykańcy delegaci na konferencyę pokojową w Hadze otrzymali polecenie popierania każdej propozycyi, dotyczącej utworzenia międzynarodowego trybunału rozjemczego.

**Paryż.** Dzienniki donoszą, że Papież wysłał do Francyi trzy instrukcye; pierwsza, przesłana kardynałowi Richardowi, zawiera ogólny protest przeciw naruszeniu konkordatu; druga, dla francuskich biskupów, obejmuje warunki, pod którymi miejscowi proboszcze mogą podejmować się utworzenia t. zw. kanonicznych gmin wyznaniowych, będących pod kontrolą biskupów; trzecia instrukcya, ściśle poufna, przeznaczona jest dla francuskich kardynałów.

**HOTEL EUROPEJSKI.**
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 8 sierpnia. M. hr. Borkowski z Mielnicy. S. Zwolski z Bryniec. P. Landesberg z Kamionki. J. Wołkowicki ze Strzyżowa. Pp. Staniszewscy, pp. Chorbkowscy i pp. Rulikowscy z Rosyi. Radzczyni Beraczek z Wiednia. P. Grotkowski z Wołynia. X. S. Wyczesany z Baranowa. J. Hayn z Berlina. Hr. Dela Scala z Bukowiny.

**HOTEL FRANCUSKI.**
Lwów — Plac Maryacki.
*Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony — pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.*

Przyjechali dnia 8 sierpnia. W. Filipowski z Bieńkowiec. J. Pfleger z Oleszyc. S. Ujejski z Porudna. E. Hartmann i E. Rybar z Mor. Ostrawy. Z. Piasecki z Jabłonowa. K. Chosmann. H. Damrau, J. Zieliński i J. Isenberg z Krakowa. F. Heikbeil z Tarnowa. A. Friedrich, F. Fenz i J. Kamerad z Wiednia. W. Jabłoński z Derszowa. K. Braycha z Pragi. J. Zukierman z Krechowic. F. Grzybowski z Jass. T. Lipski z Nowego Targu. E. Lorsch ze Stanisławowa.



**Wiedeń** 8 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 20·25—20·35, 20·00—20·10. — Spirytus: bez zmiany. — Nafta galicyjska bez zmiany.

**Budapeszt.** 8 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na październik 14·80—14·82, na kwiecień 15·38—25·50; żyto na październik 12·46—12·48, na kwiecień 12·76—12·78; owies na październik 12·72—12·74, na kwiecień 13·06—13·08. Kukurudza na sierpień 12·44—12·46, na wrzesień 12·64—12·66, na maj 1907 r. 10·92—10·94. — Rzepak na sierpień 00·00—00·00. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: dostateczna. — Usposobienie: silne. — Pogoda: piękna.

**Giełda południowa** (godzina 12 minut 30). Wiedeń 8 sierpnia.

Marki 117.40, renta majowa 99.50, węgierska renta koronowa 94.80, akcye: austr. zakł. kredyt. 671.50, węg. zakł. kred. 810.50, anglobanku 308.25, union banku 548·25, bankvereinu 548·50, länderbanku 440·50, kolei państw. 672·00, lombardy 165·00, akcye kolei Elbethal 452, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000.00, alpiny 579.50, Rima Muranyi 573.50, prag. Tow. żel. 2762, losy tureckie 162.00, ruble 250.00 Usposobienie: spokojne.

5-procentowa renta rosyjska na 1906 r. 78.80.

**Lwów** 8 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

**Akcye** za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 100 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 579.— do 588.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 574·00 do 584·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron —·— do 800·—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 195·—.

**Listy zastawne** za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·50 do 000.00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·50 do 101·20, 4 proc. los. w 60 lat 98.85 do 99·05. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101·80 do 102·00. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·80 do 99·50.—Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99·70 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·60 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·80 do 99·50.

**Obligi** za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 99.50—100.20. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·60 do —·—. Kom. Banku kraj. 4½% (8ej emisyi) 101·20 do 101·90. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 98·80 do 99.50. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —·— do —·— 4 proc. z 1893 r. 99·00—99·70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97·70 do 98·40, 4½% po 200 koron 100·00 do 101.80.

**Monety.** Dukat cesarski 11·24 do 11·40. Napoleondor 19·00 do 19·25. 100 rubli rosyjskie papierowe 249·50 do 251·50. 100 marek niemieckich 117·20 do 117·70.

**Ruch pociągów kolejowych**
ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Krakowa **2.31***, **1.30**, **8.40***, 5.50, 8.45, 5.25, 9.80*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.[illegible]0, 11.45, **2.20**, 5.5[illegible], 10.3[illegible]
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.0[illegible], 11.2[illegible], 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 0.[illegible]5.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.5[illegible].
Z Jaworowa: 8.18, 4.37.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.2[illegible]*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.55.
Z Bełżca: 4.50.

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Krakowa **8.25**, **12.45***, **2.45**, 4.05*, 8.35, 6.85*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 1[illegible].55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.35, 11.15, 6.8[illegible]*, 10.[illegible]*.
Do Czerniowiec. **2.51**, **2.40**. 6.15, 9.[illegible]0, 10.4[illegible]*.
Do Stryja: 11.3[illegible]*.
Do Rawy i Sokala: 7.2[illegible]*.
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.3[illegible].
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.[illegible]5*.
Do Ławocznego: 7.3[illegible], 2.30, 6.2[illegible]*.
Do Bełżca 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa Husiatyna: 9.10*.

**Pociągi lokalne.**

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Brzuchowic (od 6 maja do 23 września): 7.[illegible]7 przedpołudniem, 3.2[illegible], [illegible].3[illegible] popołud. i 8.20 wieczór, (w niedziele i rz. kat. święta): 1[illegible].00 przedpoł., 1.46 po południu, (od 1 czerwca do 31 sierpnia włącz. codziennie. [illegible].35 wieczór.
Z Janowa (od 1/5 po 30/9 wł codziennie): 1.15 popoł., (od 13.5 do 9.9 wł. codziennie 8.4[illegible] wieczór, zaś w niedziele i rz. kat. święta 9.25 wieczór.
Ze Szczerca (od 27.5 do 16.9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) o 9.40 wieczór.
Z Lubienia (od 13.5 do 16.9 wł. w niedz. i rz. kat. święta o 11.50 wieczór.

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Brzuchowic (od 6 maja do 23 września wł.) 6.05 rano. 2.28, 3.40 i 6.26 popoł. (tylko w niedziele i rz. kat. święta); 9.00 przedpoł. i 12.40 popołudniu. Od 1.6 do 31.8 wł. codziennie 8.34 wieczór.
Do Rawy Ruskiej 11.35 w nocy (każdej niedzieli).
Do Janowa: (od 1.5 do 30.9 wł. codziennie) 9.15 przed poł. (od 13.5 do 9.9 wł. w niedziele i rz. k. święta) 1.35 popoł., zaś codziennie 8.14 popoł.
Do Szczerca [illegible]0.45 przedpoł. (od 27.5 do 16.9 w niedz. i rz. k. święta).
Do Lubienia: 2.[illegible]1 popoł. od 13.5 do 16.9 w niedziele i rz. k. święta.

**Uwaga.** Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

8)

## TUNEL POD KANAŁEM LA MANCHE.

(Ciąg dalszy).

VII.

**Położenie bez wyjścia.**

Budzimy się z gniewu, jak ze snu. Dopóki Jeffery stał przedemną, dopóki swem szyderstwem chłostał mój honor, wystawiał na próbę moją cierpliwość, byłem nawpół przytomny z oburzenia i gniewu; ale gdy padł u moich nóg, ocknąłem się odrazu.

Gdym go zobaczył rozciągniętego na tym torze, będącym jego własnem dziełem, w pierwszej chwili osłupienia zapomniałem gdzie jestem i dlaczego powaliłem go na ziemię. Stopniowo, przerwany łańcuch pamięci zaczął się nawiązywać, ogniwo po ogniwie. On mnie tu przywiódł, chciał mi pokazać, co Francya knuje przeciw Anglii, a potem zamknąć mi usta na zawsze. Tymczasem nie on mnie, lecz ja jego pozbawiłem mowy i życia. Byłem bowiem pewny, że mam przed sobą trupa, tak leżał blady i sztywny.

Powiadają, że w chwilach niebezpieczeństwa budzi się w nas nadzwyczajna przytomność umysłu. Doznawałem tego na sobie. Nie pojmuję, skąd mi się wzięło tyle zimnej krwi. Zrobiłem to, coby uczynił każdy obojętny przechodzień: podniosłem ciało, leżące w poprzek relsów i odsunąłem je na bok. Podjąłem następnie płaszcze gumowe, które zrzuciliśmy z siebie, gdyż powietrze w tunelu było duszne. Żaden lekarz nie mógłby troskliwiej badać pulsu pacyenta, jak ja puls mego wroga! Nie odzywał się wcale. Dreszcz strachu i grozy mnie przejął. Stałem, pochylony nad nim; trwało to minutę zapewne, ale wydało mi się godziną conajmniej. Nagle wstąpiła we mnie otucha. Martwe ciało drgnęło, zaciśnięta ręka rozwarła się, piersi poruszyły się oddechem.

Co za szaleństwo było przypuszczać, że moje uderzenie pozbawiło go życia! Niejeden zapaśnik po walce ze mną, padł na torze boksu, a nazajutrz chodził po świecie. Nie, nie jestem mordercą.

Nigdy muzyka nie brzmiała w mych uszach tak słodko, jak jego oddech. To budzące się życie było mi droższe od własnego. Gdy pierwsza fala radości odpłynęła z mego serca, zrozumiałem, że każda sekunda stanowi o mej wolności.

Słychać było sapanie zbliżającego się pociągu. To mnie postawiło odrazu na nogi. Jeffery żył. Za chwilę mógł się ocknąć, zawołać ratunku — dwudziestu ludzi nadbiegnie mu na pomoc.

Powiedziawszy to sobie, zacząłem biedz, sam nie wiedząc gdzie, byle dalej od tej piekielnej ciemności, od tego obezwładnionego wroga.

Ogarnął mnie strach paniczny, głupi. Leciałem prosto przed siebie, potknąłem się. Zadudniło w tunelu. Pociąg zbliżał się. Wiedziony instynktem zachowawczym, odskoczyłem od toru i przypadłem do ziemi opodal.

Spostrzegą? Nie spostrzegą? Lokomotywa przeleciała obok mnie. Byłem ocalony — chwilowo przynajmniej. Wróciła mi znowu przytomność, strach odbiegł. Trzymałem się już mocno na nogach i nie potknąłem się ani razu, idąc dalej.

Dudnienie pociągu milkło, wreszcie zapanowała cisza zupełna. Zdawało mi się, że słyszę plusk fali nad głową, że mi wiatr świszcze w uszach. Co chwila stawałem, nasłuchując. Ale nie było słychać kroków, ani wołania o pomoc.

Nadzieja szalona, niedorzeczna, zakradła mi się do serca, choć rozsądek ją odganiał; po za mną leżał człowiek, który mnie wprowadził do tej pułapki, przedemną były szańce, szyldwachy i więzienia Francyi. Ja jednak szedłem naprzeciw nim odważnie, a idąc, przypomniałem sobie wszystko, com tu widział, przy boku Jeffery'ego. Miarkowałem, że winda musi już być niedaleko i to mi dodawało otuchy. Po raz ostatni może będę miał nad głową niebo i gwiazdy, zaczerpnę świeżego powietrza.

Nadzieje prysły nagle — ujrzałem światło latarni. Naprzeciw mnie szło trzech ludzi. Byłem zgubiony. Nie wiedziałem co począć; w mej głowie zrobiła się pustka, ogłupiałem zupełnie. Nagle odruchowo zapiąłem płaszcz, nasunąłem kaszkiet na oczy i zacząłem iść naprzeciw tych ludzi.

— Panie Martel, panie Martel, gdzie jest Jourdain?

Słysząc to zapytanie, stanąłem, ale nie odwróciłem się do mówiącego — tego właśnie, który niósł latarnię. Czyżby się pomylił? Widocznie, skoro mnie nazywał Martelem.

— On jest tam — odparłem prawie bezwiednie.

I stał się cud: nie poznali mojego głosu. Wszyscy trzej zawołali: — Dzięki! — i poszli dalej.

— Wzięli mnie za Martela — myślałem i zaczęło mi się to wydawać mniej dziwnem, niż w pierwszej chwili. W tunelu panowały ciemności; obaj byliśmy brunetami, jednakowego mniej więcej wzrostu; obaj mieliśmy płaszcze gumowe i kaszkiety. Machinalnie dotknąłem mojego i zrozumiałem pomyłkę. Wśród ciemności podjąłem czapkę Roberta. Moja pozostała przy nim. Patrol znajdzie ją za chwilę. Zaśmiałem się w duchu.

Ślepy traf przyszedł mi w pomoc, a może nie traf, lecz Opatrzność...

Nadzieja odżyła w mem sercu, a do pustej przed chwilą głowy napłynęło tysiące projektów. Jeżeli patrol wziął mnie za Martela, zdołam może przejść obok szyldwachów, stojących przy okopach i przy bramie. Jednak — nie: tutaj panują ciemności, a tam elektryczne lampy rzucają takie światło, że możnaby przy niem szpilki zbierać. Chyba cud mnie ocali, a czasy cudów już minęły.

Łowiłem uchem każdy szelest, bojąc się lada chwila usłyszeć nawoływania Jeffery'ego.

Patrol musiał już dojść do miejsca, w którem on leżał. Zdało mi się, że słyszę krzyki.

Nagle ciemności pierzchły. Lampy elektryczne oświeciły tunel; widziałem zdala szyldwachów, że byli odwróceni do mnie plecami. Znajdowałem się właśnie pod windą.

Ten wysoki komin ceglany, strzelający ku gwiazdom, to jedna dla mnie droga ratunku. Byle tylko zdołał wspiąć się po nim w górę! Otworu zewnętrznego strzegł pewno szyldwach, ale nie miałem nic do stracenia. To była moja jedyna nadzieja.

Zresztą — kto wie: ci trzej wzięli mnie za Martela.

Duża lampa łukowa rzucała światło na otwór. Nie było drabinki w pobliżu, ale od góry zwieszała się gruba lina. Nieraz wspinałem się na główny maszt mego jachtu — było to dla mnie zwykłem ćwiczeniem gimnastycznem, łatwem do spełnienia przy wyrobionych muskułach.

Uczepiłem się sznura i w mgnieniu oka znalazłem się na wysokości dwudziestu stóp; widziałem już gwiazdy, owiewało mnie morskie powietrze. Dalej, dalej w górę, ku wolności, ku życiu!

Zdało mi się, że na dole słyszę krzyki i ścisnąłem mocniej sznur. Nie, to był głos morza. Choć krew ociekała mi z dłoni, wspinałem się w górę, a co chwila zdawało mi się, że widzę twarz szyldwacha, nachyloną nad otworem. Podniosłem głowę — nie, to gwiazdy mrugały przyjeźnie. Byłem już o półtory stopy od wylotu.

Tam, za tą okrągłą paszczą ceglaną stoi szyldwach; odrazu wpadnę mu w ręce. Nadzieja byłaby szaleństwem.

A jednak tamci nazywali mnie Martelem! Teraz już wiedzą, że to nie był on, podnieśli już alarm..., I znowu zdało mi się, że słyszę głosy i przyśpieszone kroki. Tak, to już nie przewidzenia zgorączkowanej wyobraźni.

Patrol znalazł Jeffery'ego. W tunelu wszczął się popłoch.

Wyskoczyłem z otworu i padłem na trawę, pod ocembrowaniem windy. O dwadzieścia kroków dalej, przy samem wybrzeżu, stał szyldwach, odwrócony do wody. Leżałem na trawie, czekając, rychło ten człowiek usłyszy wrzawę w tunelu i podbiegnie do windy, aby zobaczyć, co się dzieje. Wtedy będę zgubiony bez ratunku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Napoleon Łuszczkiewicz

**architekt**

urodzony w r. 1859 w Krakowie, zmarł po krótkich cierpieniach dnia 6-go sierpnia 1906 r. w Truskawcu.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się we czwartek dnia 9 sierpnia 1906 r., o godzinie 4. po południu z głównego dworca c. k. Kolei państwowej na cmentarz Łyczakowski, na który w nieutulonym żalu pozostała żona z synami i Rodziną zapraszają krewnych, znajomych i przyjaciół.

Lwów, dnia 7 sierpnia 1906.

„CONCORDIA" A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.

†

Ksawery Franciszek Żiszka

był właściciel handlu w Kałuszu, uczestnik powstania z r. 1863/4 po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, zmarł w niedzielę dnia 7 sierpnia 1906 r., przeżywszy lat 61.

Ciężką boleścią dotknięta żona z dziećmi i wnukami zapraszają krewnych, przyjaciół, znajomych i pobożnych chrześcian na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie we czwartek dnia 9-go sierpnia 1906 roku o godzinie 5. po południu z domu żałoby przy ul. Piekarskiej l. 62, na cmentarz Łyczakowski.

Lwów, dnia 7 sierpnia 1906.

„CONCORDIA" A. Kurkowski, Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.



Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.